Norwid o narodzie i pracy
Kazimierz Braun
str. 3

Aktor Reymont
Eliza Sokołowska
str. 5

Ten „Skiz"- karta bita
Maria Bechczyc-Rudnicka
str. 8

Rys. L. Szalecki

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 3 VI 1973 Nr 11 (523) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Coś się rusza na Roztoczu

Mirosław Derecki

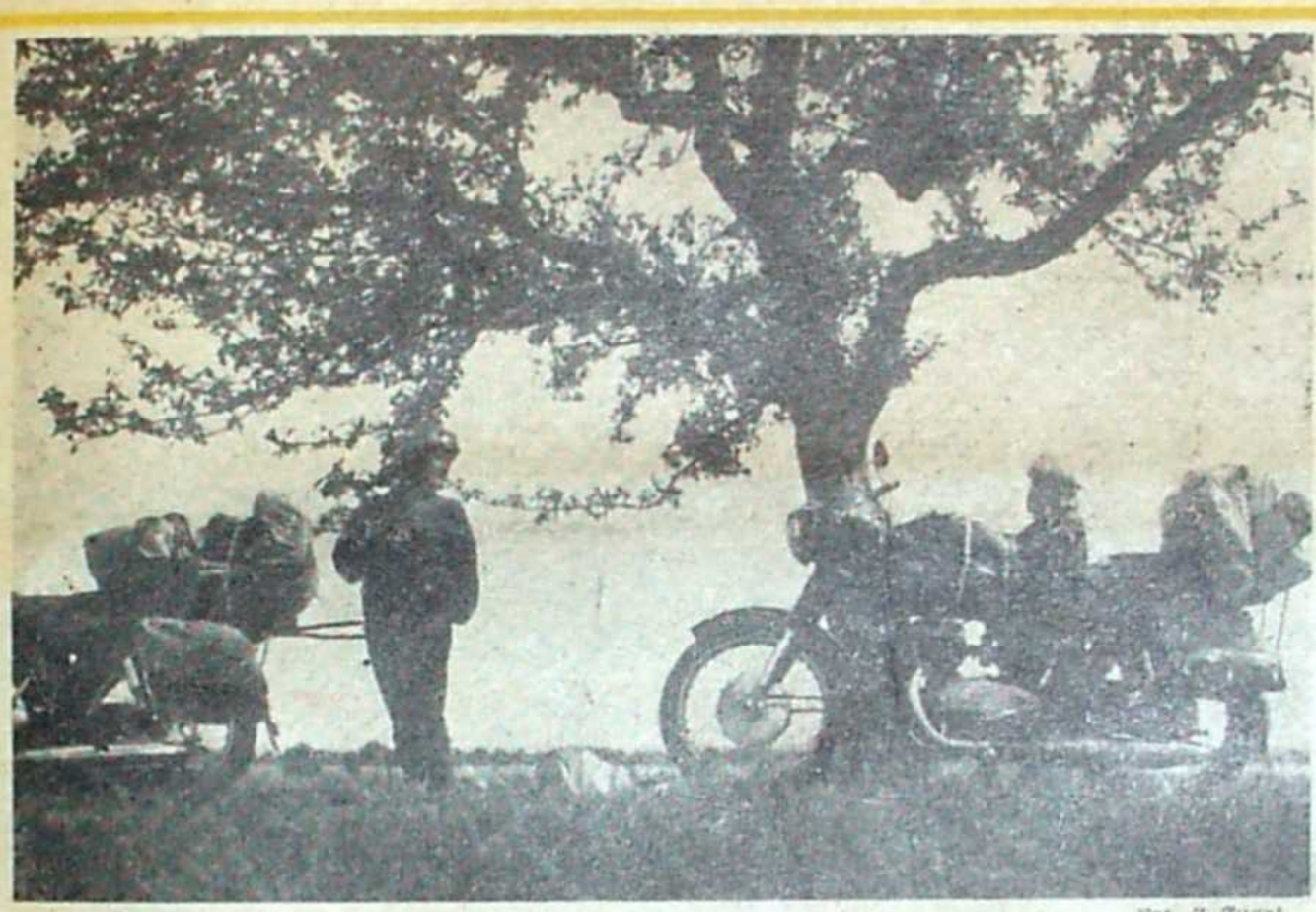
Fot. Z. Zugaj

W ZAMOŚCIU trwa walka z grzybem. Ochrzczony przez tubylców — dla swej potęgi i niezniszczalności — mianem „hetmańskiego", zżera ściany zabytkowych kamieniczek, wyłazi ciemnymi plamami spod świeżych tynków w pieczołowicie odnawianych wnętrzach. W eleganckiej restauracji „Hetmańska", zaprojektowanej przez prof. Wiktora Zina, „hetmański" grzyb w kilka miesięcy po otwarciu spowodował takie spustoszenie, że lokal trzeba było zamknąć prawie na pół roku dla dokonania dodatkowych zabiegów konserwacyjnych. W oddanym niedawno do użytku pięknym pomieszczeniu „Orbisu" widać już wyraźnie rysujące się na łukowych sklepieniach szare zacieki.

Ale mimo tych mankamentów spędzających sen z oczu pracownikom Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków, dzisiejszy, dźwigający się z wieloletniego zaniedbania Zamość nie wywiera już na przybyszu przygnębiającego wrażenia. Wprawdzie wciąż jeszcze przeraża ogrom ruinacji w jaką popadło Stare Miasto, lecz równocześnie widać na każdym niemal kroku nowe rusztowania. Zmieniła się atmosfera Zamościa, zmienił się klimat... Koniec z marazmem, nareszcie zaczyna się tutaj coś dziać...

I podobne wrażenie odnosi się obserwując turystyczne sprawy Roztocza. Jeden z najpiękniejszych regionów naszego kraju wciąż jeszcze bardzo mocno kuleje, jeśli chodzi o bazę noclegową, punkty zbiorowego żywienia i... turystyczą reklamę, ale równocześnie sprawa zagospodaro-

Dokończenie na str. 6—7

Kazimierz Andrzej Jaworski

Z NOWYCH WIERSZY

Oktostych eschatologiczny

Od kolebki do truchły droga bardzo krótka:
wciąż na twój odjazd czeka Charonowa łódka.

Od pierwszego kwilenia do ostatnich jęków,
od brzęczenia grzechotki do pogrzebnych dźwięków

czas przeleci tak szybko jakbyś trzasnął z bicza,
lat sześćdziesiąt, sto choćby — ile nie obliczaj;

ile tam tego będzie, ach, o to już mniejsza;
by ilość przeszła w jakość to rzecz najważniejsza.

* * *

Czekają na mnie złote oceany
K. A. J.

Już nie czekają na mnie złote oceany,
tak jak o tym pisałem przed czterdziestu laty.
Już nie przywrę stopami do tatrzańskiej ściany,
nie przylgną do nich śniegu tatrzańskiego płaty.

Lecz trudno mi narzekać. W wrażenia bogaty,
o wszystkim, co przeżyłem śpiewałem peany.
Spłacałem swoje długi powoli na raty
I wnet uiszczę całość, dłużnik bez nagany.

Bowiem wszyscy zmierzamy do jednego końca,
skazańcy już od chwili swego urodzenia,
bez żadnej apelacji i bez prawa łaski.

Garniemy się do ludzi, do bliskich, do słońca,
odrzucamy wciąż myśli o krainie cienia
chcąc wierzyć, że nie zgasną nam słoneczne blaski.

Na przekór

Przed moim oknem lipa — gdybyż czarnoleska...
W głębi zieleń parkowa, w górze dal niebieska.

A w parku, chociaż mały — delicje, delicje:
różowe krategusy, złociste forsycje

i liście, świeże liście na gałązkach drzewa,
i słońce, które wszystko tak hojnie ogrzewa,

i ptaki zwariowane, upojone wiosną,
rymujące, że dla nich radosną, miłosną...

Stary koniu, coś wieku przekroczył trzy ćwierci,
czy nie lepiej, byś zaczął już myśleć o śmierci?...

Ach, myślę o niej, myślę, lecz zanim tam pójdę,
niech ją teraz przynajmniej uważam za bujdę.

Ósmy krzyżyk, lecz widać, żem jeszcze nie stary,
skoro na mnie działają tak wiosenne czary.

1973

Dalsze wiersze na str. 3

REZERWY NA DŁONI

-A po co nam pożyczka?

Tadeusz Graba

KILKU rolników z pewnej wsi bychawskiej zechciało przystąpić do spółki hodowlanej, co ze zrozumiałych względów uradowało władze powiatowe, popierające takie inicjatywy.

— No to ile chcecie pożyczki? Kredytów nie brakuje.

— A po co nam pożyczka? — zdumieli się gospodarze. — Ja mam w PKO 700 tysięcy, a Władek chyba i więcej — poinformował jeden z nich.

W Olszance coraz rzadziej stawia się domy, coraz częściej wznosi wille. W Krzczonowie, Piotrkówku, Piotrkowie, Chmielu i Osmolicach II traktory stoją w szopach — zdarza się — obok prywatnych samochodów osobowych.

— Za dziesięć lat nie będzie w powiecie ani jednej strzechy, a pod względem produkcji, wydajności i skupu produktów rolnych musimy wyprzedzić w tym roku wszystkie powiaty województwa — stwierdza zastępca przewodniczącego prezydium PRN w Bychawie, inż. rolnik Franciszek Łachowski.

Bychawskie jest terenem typowo rolniczym, 98 proc. mieszkańców utrzymuje się z uprawy ziemi i hodowli. Znakomite gleby sprzyjają uprawie pszenicy i buraka cukrowego, który w tym roku pokryje 4 tys. ha, czyli o 500 ha więcej, niż zakładały plany. W 1972 r. powiat dostarczył cukrowni lubelskiej 140 tys. ton buraków, zbierając z hektara 400 kwintali. Wskaźnik bydła na 100 ha użytków rolnych plasuje Bychawskie na I miejscu w województwie, osiągając 73,3 sztuki. Przyszłość zapowiada się jeszcze lepiej: kontraktacja bydła w 1973 r. przewyższa o 43 proc. stan z ubiegłego roku. Intensywnie rozwija się hodowla trzody chlewnej. Skup mleka od jednej statystycznej krowy jest najwyższy w województwie (1200 litrów)... Dodajmy na koniec, aby nie gmatwać obrazu statystyką, że w pierwszym kwartale tego roku rolnicy bychawscy sprzedali państwu ponad 3 tys. ton mięsa wołowego i wieprzowego.

Takie rezultaty osiągnięto w rejonie, który właściwie nie posiada użytków zielonych, będących naturalną stołówką zwierząt hodowlanych. Zajmując 1,2 proc. w strukturze powierzchni upraw, przyczajone w wąskich dolinach nielicznych rzeczułek, nie liczą się w sensie ekonomicznym. Hodowli sprzyjają jednak rozległe uprawy buraka cukrowego: 50 kwintali kiszonek rocznie ma do swej konsumpcyjnej dyspozycji jedna wołowina. Przez wiele lat liście i wysłodki buraczane były podstawową paszą bychawskiego bydła, obok roślin typowo pastewnych, uprawianych na gruntach ornych. Aktualna polityka władz powiatowych zmierza do powiększenia areału buraka, o czym wspomniano na początku, lecz wzrost ten ma swoje granice. Natomiast szersze wykorzystywanie doskonałych gleb pod uprawę tradycyjnej paszy jest z wielu względów nieekonomiczne.

W tej sytuacji (niecałe trzy lata temu) służba rolna zaczęła zachęcać wieś do jesiennego siewu żyta na wiosenną paszę. Rocznie w każdej ówczesnej gromadzie organizowano kilka specjalnych pokazów zakiszania żyta, czarno na białym przedstawiano korzyści wynikające z nowej metody zdobycia zielonego pożywienia. Mimo że kultura rolna w powiecie stoi na przyzwoitym po-

Dokończenie na str. 4—5

teatrnn.pl

KULTURA 1973

Zmarli

● 38-letni Bohdan Arct, pisarz, popularyzator problematyki i wiedzy lotniczej, b. pilot myśliwski dywizjonów polskich i brytyjskich w czasie ostatniej wojny. Łączny nakład jego książek przekroczył 2 mln egzemplarzy, a najbardziej popularne to „Niebo w ogniu", „Cena życia", „Rycerze biało-czerwonej szachownicy".

● 63-letnia pisarka, autorka powieści i opowiadań — Maria Pruszkowska. Jej najbardziej znaną książką jest kilkakrotnie wznawiana powieść „Życie nie jest romansem, ale..."

● 77-letni tłumacz literatury polskiej na język angielski, Henry Charles Stevens, odznaczony odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej". Tłumaczył Żeromskiego, Fiedlera, Kuncewiczową, Dobraczyńskiego i in.

Literatura

● Nagrody literackie Centralnej Rady Związków Zawodowych otrzymali: Julian Kawalec za „Przepłyniesz rzekę" i Albin Siekierski za „Drzewo liści nie dobiera.

● W dziale poezji nagrodę im. Stanisława Piętaka otrzymał Ryszard Milczewski-Bruno za tom wierszy „Podwójna należność", a nagrodę specjalną za walory warsztatowe i poznawcze Henryk Bereza za tom esejów pt. „Związki naturalne".

● Krakowskie „Wydawnictwo Literackie" rozpoczęło wydawanie pięknie opracowanej graficznie serii poetyckiej. Ukazały się utwory Jalu Kurka, Joanny Salamon, Stefana Gołębiowskiego i Leszka Herdegena.

● Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZG ZSMW rozpoczął 13 rok działalności. Skupia on 600 członków, z których 200 wydało już własne książki. Z tego Klubu wyszli m. in. Czesław Kuriata, Maria Szypowska, Urszula Kozioł, Marian Pilot, Zygmunt Trziszka, Ryszard Milczewski-Bruno.

Teatr

● Od nowego roku akademickiego w krakowskiej Wyższej Szkole Teatralnej będzie czynny wydział reżyserski. Przyjmowani będą tylko absolwenci wydziałów aktorskich oraz magistrzy nauk humanistycznych.

● Teatr Polski we Wrocławiu wystawił w reżyserii Zygmunta Hubnera jedną z najgłośniejszych sztuk Artura Millera — „Czarownice z Salem".

● Teatr im. S. Jaracza w Olsztynie wystawił niezwykle rzadko pokazywaną na scenie sztukę Henryka Ibsena — „Gdy wstaniemy z martwych".

● Teatr im. Gorkiego w Berlinie wystawił sztukę Agnieszki Osieckiej „Apetyt na czereśnie". Krytycy wróżą długotrwałe powodzenie. Jest to pierwsza od wielu lat współczesna sztuka polska, grana w teatrach stolicy NRD.

Sztuka

● W roku bieżącym odbudowuje się w kraju 322 zabytki — Pracownie Konserwacji Zabytków otrzymały na ten cel 470 milionów zł, to znaczy 100 mln zł więcej niż w roku ubiegłym.

● W konkursie SARP na gmach Muzeum Sztuki Współczesnej w Skopje zwyciężyli architekci warszawscy — J. Mokrzycki i E. Wierzbicki.

● Ponad 1300 prac wpłynęło na konkurs sztuki ludowej południowego Mazowsza. Najwięcej było wyrobów ludowego tkactwa artystycznego.

● W klubie „Ruchu" we wsi Zimowisko w pow. słupskim zgromadzono 200 rzeźb ludowego artysty Eugeniusza Michalskiego.

● Grupa baletowa Teatru Wielkiego w Moskwie występowała w Wiedniu, latem zaś uda się do USA i Japonii, później do Włoch.

● Zamek w Vauvenargues w południowej Francji, w którym został pochowany Pablo Picasso, zostanie przekształcony na muzeum Picassa. Znajdzie się w nim m. in. 100 prac, których artysta nie przeznaczył na sprzedaż, a które nigdy dotąd nie były publicznie pokazywane. Wartość kolekcji obrazów, które rodzina przekaże narodowi francuskiemu do Luwru, ocenia się na 4 mln funtów szterlingów.

Muzyka

● Laureatami Konkursu Piosenki Radzieckiej, który zakończył się w Inowrocławiu, w grupie zespołów zostali: sekstet wokalny z Mrozów w woj. warszawskim oraz kwartet męski z Poznania, w grupie solistów: Michał Bajor z Opola i Andrzej Chwiłoc z Gliwic. Ogółem w konkursie uczestniczyło ponad 200 tys. osób.

● Tegoroczne Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie i Leżajsku cieszyły się rekordową frekwencją — wszystkie bilety na koncerty rozeszły się w przedsprzedaży.

● Z początkiem maja odbyło się w Cieplicach tradycyjne już spotkanie społecznych orkiestr symfonicznych, pracujących pod opieką zakładów pracy, domów kultury lub związków zawodowych. Poza występami odbyła się narada metodyczna instruktorów muzycznych WDK i dyrygentów tychże orkiestr.

● W dniach od 23 czerwca do 5 lipca odbędzie się w Międzyzdrojach VIII Festiwal Pieśni Chóralnej. Wystąpi 12 zespołów. Festiwal będzie połączony z obchodami 25-lecia Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych.

● W ramach festiwalu „Leningradzka wiosna muzyczna" jeden wieczór poświęcony był polskiej muzyce współczesnej.

● Leopold Stokowski ukończył dziewięćdziesiąty rok życia i jest najstarszym dyrygentem na świecie. Od 25 lat dyryguje orkiestrą symfoniczną w Filadelfii. Nagrał on dotychczas 280 płyt, a na koncertach dyrygował ponad 7 tys. razy.

Film

● Wytwórnia Filmowa „Czołówka" obchodzi wkrótce 30-lecie. Wraz z pierwszymi oddziałami polskimi i radzieckimi znalazła się w roku 1944 w Chełmie i w Lublinie, tu też nakręciła pierwszy numer Polskiej Kroniki Filmowej oraz pierwszy polski film „Majdanek — cmentarzysko Europy". Od tego czasu „Czołówka" zrealizowała około 1300 filmów, dając szeroką panoramę dziejów oręża polskiego, walk o narodowe i społeczne wyzwolenie oraz wysiłku zbrojnego Polski w czasie drugiej wojny światowej.

● W Ciechocinku kończy się festiwal amatorskich filmów krajów socjalistycznych, połączony z imprezą kulturalną „Wiosna pod tężniami", prezentującą twórczość ludową.

● Filmy „Tak cicho o zmierzchu" Stanisława Rostockiego, „Kochać człowieka" Sergiusza Gerasimowa oraz „Poskromienie ognia" Daniła Chrabowickiego uznane zostały za najlepsze pozycje Wszechzwiązkowego Festiwalu w Alma Acie.

Różne

● Przy ministerstwie Kultury i Sztuki powstał nowy organ doradczy i opiniodawczy — Międzyresortowe Kolegium Porozumiewawcze. W jego skład wchodzą przedstawiciele resortów gospodarczych i naukowych, PAN, związków zawodowych, wojska, środków masowego przekazu, nauki i techniki.

● Podczas okupacji 17 tys. nauczycieli oddało życie kształcąc młodzież — dokumentacja tych faktów stanowi część wystawy „Oświata polska w latach II wojny światowej", którą eksponowano w Warszawie.

● Tegoroczne dni Krakowa, połączone z uroczystościami ku czci Kopernika oraz I Targami Sztuki Ludowej, rozpoczną się 16 czerwca i zakończą 30.

● W maju 9 polskich zespołów oraz 28 wybitnych artystów występowało w różnych krajach świata. W Polsce zaś występowały 4 zagraniczne zespoły oraz 24 solistów.

● Dom pracy twórczej dla architektów z całego kraju powstanie wkrótce w odrestaurowanym zamku w miasteczku Tuczno w woj. koszalińskim.

● W mieście Phoenix w stanie Arizona w USA skazano ostatnio kilka osób na kary po 6 miesięcy więzienia za nieoddanie książek, wypożyczonych z biblioteki miejskiej.

Lubliniana

● W ogólnopolskim konkursie na pomnik ku czci partyzantów polskich i radzieckich, walczących w Lasach Janowskich, wyróżniono projekty artystów radzieckich Juliusza Rukawiśnikowa i Aleksandra Skokana oraz plastyka polskiego Bolesława Chromnego.

● Tow. Miłośników Lublina oraz Polskie Tow. Historyczne prowadzą w Miejskim Domu Kultury cykl bardzo ciekawych odczytów pt. „Barwy dawnego Lublina", połączone z występami artystycznymi.

● Po raz szósty Wydział Kultury PMRN w Lublinie oraz MDK urządziły konkurs recytatorski poezji Józefa Czechowicza. Uczestniczyły 43 osoby. Pierwsze miejsca zdobyły: szkoły podstawowe — Cezary Karpiński, licea — Waldemar Dras, amatorzy — Jolanta Woźniak.

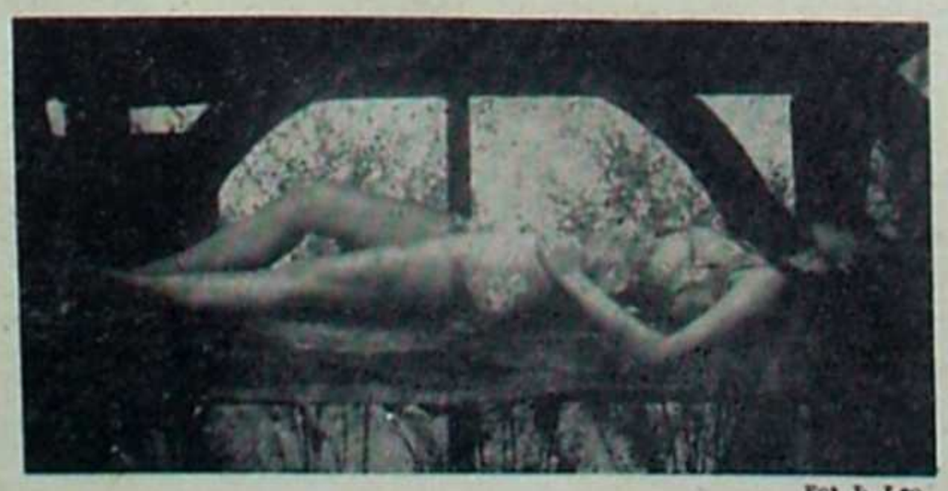

Fot. L. Leo

W Nałęczowie bije divertimento

Zygmunt Mikulski

JERZY Waldorff dowodził, że muzyka łagodzi obyczaje, a filharmonia lubelska — że jeszcze leczy serca. Wynika to z serii koncertów organizowanych przez lubelską placówkę w nałęczowskim uzdrowisku.

Zaczęło się w roku 1968. Na skutek porozumienia między organizatorami doszło do prezentowania muzyki raz w miesiącu tamtejszym mieszkańcom i kuracjuszom, po czym zapotrzebowanie na dostarczany artykuł wzrosło na tyle, że w roku 1970 miesięcznie odbywały się cztery koncerty. Nie koniec na tym: w roku 1972 inicjatywa przerodziła się w stałą imprezę, która pod nazwą „Nałęczowskie Divertimento" weszła do kalendarza występów filharmonii i zajęć uzdrowiska. W roku bieżącym mieliśmy więc do czynienia z drugim cyklem koncertów nie tylko tak zręcznie nazwanych, ale ukazujących muzykę siłami najlepszych wykonawców.

Co to jest divertimento? Słowniki powiadają, że to forma intrumentalna zbliżona do suity oparta na zasadzie kontrastowo zestawionych części, a więc zawierająca allegro (szybko), andante (powoli), następnie parę tańców i znów partie spokojne przeplatane żywymi. Wszystko dla urozmaicenia i rozrywki, z których się zresztą etymologiczne „divertimento" wywodzi. Jako nazwa nie utworu, ale całości koncertu jest fortunnie pomyślaną metaforą informującą o intencji organizatorów: zabawić, dać odprężenie, nakarmić ucho.

Zresztą nie tylko tonem. W programie II Nałęczowskiego Divertimento mieliśmy również poezję. Petrarka, Szekspir, Norwid, Słonimski. Czy kłóciło się to z jednolitością koncepcji? Bynajmniej. Współczesna produkcja artystyczna dopuszcza takie pomieszanie gatunków, skoro np. do ekspozycji rzeźby dodaje światło i głos, skoro dzieła plastyczne zawierają fragmenty tekstów literackich, skoro w samej literaturze dochodzi do symbiozy liryki, dramatu, scenariusza filmowego itp. w ramach jednego tekstu. Zresztą nie potrzeba aż takich przykładów. Poezja i muzyka koegzystują ze sobą na zasadzie rodzajowej i genetycznej. Rodzajowej: rytm i rym zostały przeniesione w obszar słów drogą analogii do zjawisk fonicznych. Erato jest muzą nie „poezji", ale „pieśni miłosnej".

Bardzo niekrytyczny nawyk myślenia widzi w tym deprymującą dla poezji asocjację: katarynka. Iluż wojowniczych polemistów naużywało sobie wymachując na ślepo tym terminem! Oczywiście — pomyłka. Nie chodzi o łatwą melodyjność frazy, o banalną onomatopeizację, ale o zasadą łączenia słów, które ponad swym zakresem ściśle znaczeniowym mają przenieść doznania w perspektywę łańcuchowo tworzących się skojarzeń.

Dodajmy jednak lojalnie, że współczesna poezja nie widzi dla siebie drogi rozwoju w połączeniu z muzyką. Jest inna. Wynika z ducha konstrukcji, architektury, geometrii. U jej narodzin znajduje się kubizm (Apollinaire np. był jednym z propagatorów tego kierunku). Czy w tym odejściu jej od muzyki wyraża się chęć zachowania czystości gatunku? Widzimy, że nie, ponieważ chętnie korzysta z dokonań plastyki, czy choćby dopuszcza równoległość z nią poszukiwań. Więc może antytradycjonalizm? To już prędzej. Tylko... w tym miejscu ciąg refleksji musi ulec zahamowaniu, bo jeśli nie słówkiem „anty" mamy wyrazić jej tendencję, to jakim „pro"? Na to sama współczesna poezja poszukuje odpowiedzi, a ta szaleńczo została ukryta we wszystkich pogmatwanych implikacjach naszego czasu.

Ale w Pałacu Małachowskich, gdzie odbywało się „Divertimento", nie potrzeba się było zdobywać na teoretyczny stosunek do zagadnień sztuki. Podano muzykę acz wielką, to przystępną. Mozart Saint-Saëns, Musorgski, Schumann, Schubert, Haydn, Chopin, Szymanowski, Wieniawski, Moniuszko. Liryka romantyczna (z małymi wyjątkami). Mnie osobiście zabrakło Beethovena „Wspomnienia dla Elizy", utworu jednego z najpopularniejszych w klasyce światowej, a mimo tak częstych obstukiwań wciąż posiadającego świeżość i wdzięk. Zdradzam bez obawy swój osobisty gust, ponieważ w pomyśle organizatorów „Divertimento" było niewątpliwie czymś w rodzaju koncertu życzeń, małej antologii jednego okresu, muzycznym pocket-book dostępnym do otwarcia w scenerii nałęczowskiej przyrody. Kwitną tulipany, lekki wietrzyk gracuje ogrodowe alejki, majowe słońce podgrzewa, a tu w Sali Balowej kilkadziesiąt zasłuchań kołysanych przypływem muzyki. Czy nie brawa dla filharmonii?

Upowszechnianie muzyki jest z pewnością jednym z najpotrzebniejszych zajęć placówek i zrzeszeń artystycznych. Język muzyki jest dostępny wszystkim, łatwo wywołuje „produkt finalny", jakim jest efekt estetyczny, skutecznie przenika środowiska i grupy społeczne wywołuje zapotrzebowanie na dobra kultury. Dobrze się też stało, że lubelska filharmonia ma tak szeroko rozbudowaną sieć swych kontaktów terenowych. Owszem, trzeba tu ujrzeć również trudność, ponieważ nie wszędzie można spotkać się z fortepianem i nie same pobożne życzenie w tych słowach jest zawarte. Ale uwzględnijmy jedną poważną okoliczność. Sam przybytek tej twórczości jest mimo wszystko nieco krępujący. Trochę onieśmiela. Inaczej wygląda, kiedy organizuje się wycieczkę do Lublina, na ul. Osterwy 4, inaczej, kiedy Pani Muzyka odwiedza słuchaczy w ich miejscu zamieszkania. Następuje ten potrzebny efekt zbliżenia, szczególnie kiedy ma się równocześnie możność posłać spojrzenie w zaokienny świat, z którego uroku muzyka powstaje i które potrafi tak przekonująco tłumaczyć.

Można by się jeszcze zastanowić nad jej percepcją przez młodzież. Spokojnie, bez uprzedzenia. Wiadomo, że zmieniają się style, że pantarhei, co już dwadzieścia pięć wieków temu odkrył pewien filozof mieszkający w jaskini. Nie możliwe jest prolongowanie nurtów tak obrosłych historią, że nie mieszczących się w warunkach współczesnego życia. I odmiana być musi. Tylko — czy wszystko, co się dziś gra, a przede wszystkim śpiewa przez sam fakt posiadania współczesnej metryki jest współczesne? Czy nie następuje tu automatyzm oceny? Tym śmielej stawiam te pytania, że niedawno przeczytałem wynurzenia Słonimskiego na temat Grotowskiego — dość sceptyczne. Z podobnym sceptycyzmem odniósłbym się do dzisiejszej muzyki, szczególnie wokalnej. Kiedy słyszę produkcje (tu można wstawić nazwisko, ale chodzi o zjawisko), mam wrażenie, że na faceta wali się ściana. Że wyrwał mu się okrzyk przerażenia wynikły z katastrofy urządzeń estradowych. Czy to znaczy, że chcę słyszeć same serenady? Broń Boże, ale chodzi mi o artystyczny walor takiej produkcji, o stopień jej atrakcyjności. Sądziłem, że po to, by wyjść na estradę, trzeba umieć śpiewać. Okazuje się, że wystarczy się bać.

Pewnie, że nie za pomocą administracyjnych środków należy stawiać opozycję tym praktykom. Ale zobaczmy, że istnieje system preferencji dla nich. Preferencji tym skuteczniejszych, że nigdzie wyraźnie nie wypowiedzianych. Dzięki czemu każdy adept estrady wstępując na nią, uważa, że należy wyć, bo inaczej nie trafi się w styl. I wtedy — sama zasugerowana krytyka ma argument: proszę, oto jeszcze jeden zwolennik współczesności w muzyce, jakże więc urządzać przeciw niej krucjatę?

Rozwiązania — nie mam. Widzę tylko sprzeczność między popularyzowaniem muzyki, a popularyzowaniem „muzyki". I że trzeba będzie kiedyś pomyśleć nad sposobami zdjęcia tego cudzysłowu.

P. S. nr 1. Pani Maria Berezowska zapalając świece do inauguracyjnego koncertu powołała się na słowa Gałczyńskiego o świecy, która „do dźwięku dodaje światło". Tylko sam mistrz Ildefons, kiedy się paliły nie przy jego mistrzu zgasił je ze słowami: „świece są tylko dla Bacha". Co oczywiście nie odbiera celności parafrazy zastosowanej przez miłą gospodynię nałęczowskiego divertimento.

P. S. nr 2. Nie piszę o wykonawcach, ponieważ impreza wykracza swym wymiarem i znaczeniem poza koncert, ale jedno nazwisko domaga się tu uwagi: Barbara Górzyńska. Kilkunastoletnia skrzypaczka zagrała Mozarta Adagio E-dur, Ysaye Sonatę nr 3 oraz Saint-Saënsa Introdukcję i Rondo capricioso. Jeszcze do dziś bolą mnie dłonie od oklasków.

Za Bugiem

PISARZE ukraińscy XIX i początku XX wieku byli często serdecznymi i pilnymi zbieraczami folkloru, który stawał się cennym materiałem i wspaniałą podnietą dla ich twórczości własnej, wzbogacał też ich język. Ukraiński język literacki tego okresu bardzo silnie wchłaniał w siebie elementy ludowe, głównie słownictwo i frazeologię.

Tak było z Iwanem Kotlarewskim czy Tarasem Szewczenko. Iwan Franko, wybitny pisarz i uczony ukraiński, był nie tylko zbieraczem folkloru; napisał również szereg cennych prac naukowych, do dziś wykorzystywanych przez naukę, a dotyczących folkloru słowiańskiego, głównie zaś ukraińskiego. Pisarze byli w ścisłym kontakcie z etnografami i folklorystami, korzystali z ich rad, materiałów, a niekiedy pomagali folklorystom w zbieraniu cennych utworów ludowych z różnych stron kraju.

Warto o tym przypomnieć z okazji ukazania się książki „Pieśni ludowe znad Dniestru w zapisach Eugenii Jaroszyńskiej" ze słowem wstępnym i w opracowaniu M. W. Hucia, w wydawnictwie „Muzyczna Ukrajina", Kijów 1972. Książka ta wyszła w serii „Ukraińskie pieśni ludowe w zapisach pisarzy" *).

Eugenia (Jewhenija) Jaroszyńska była pisarzem, pedagogiem, pilnie zbierała też pieśni i inne materiały ludowe. Urodziła się w 1868 roku na Bukowinie. Żyła tylko 36 lat. Pisała początkowo po niemiecku. W Czerniowcach bowiem w tym okresie szkolnictwo było prawie wyłącznie niemieckie, stanowiąc narzędzie polityki germanizacyjnej monarchii austro-węgierskiej. Pod wpływem gazety „Bukowyna" obudziła się w niej świadomość narodowa i zaczęła pisać po ukraińsku. Podobnie zaczynali tacy znani pisarze ukraińsko-bukowińscy, jak J. Fedkowicz, S. Worobkiewicz, i O. Kobylańska.

Znany działacz społeczny i pisarz M. Pawlyk radził E. Jaroszyńskiej, żeby „zapisywała pieśni ludowe i starała się o wszelkich sprawach mówić z ludem po prostu. Wtedy wyrobi sobie pani styl — wszystko pójdzie gładko, o wszystkim mówić będzie pani po prostu... Szczególnie jeśli zamierza pani pisać poezje, dobrze musi pani przestudiować pieśni ludowe i Szewczenkę...".

Jaroszyńska bardzo wcześnie zaczyna zbierać folklor, a w roku 1123 Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne w Petersburgu przyznało jej srebrny medal i 300 rubli za zbiór „Pieśni ludu bukowińsko-ruskiego znad Dniestru". Posyłała też swoje zbiory do lwowskiego oddziału Towarzystwa „Proswita" i do prywatnych zbiorów etnografów.

Jej zapisy pieśni łucowych wydane zostały obecnie w wymienionej książce. Zawiera ona tzw. pieśni ogólne, weselne, obrzędowe, pastorałki (kolędki), kołysanki i in.

Wartość tych pieśni jest dwojaka. Wzbogacają one zasób zbiorów folklorystycznych, które dla terenu ukraińskiego są niezmiernie bogate, ale wciąż jeszcze niepełne. Są one również świadectwem żywego zainteresowania się twórczością ludową pisarzy ukraińskich w tym okresie, a także nieodzownym materiałem do badań oryginalnej twórczości Eugenii Jaroszyńskiej, która kierzeniami swymi, tematycznie i formalnie, tkwi w folklorze ukraińskim.

M. L.

*) Narodni pisni znad Dnistra w zapysach Jewhenii Jaroszynskoji. Uporiadkuwannia, wstupna statia i prymitky M. W. Hucia. Muzyczna Ukrajina Kyjiw 1972, s. 324. Nakład 10 000 egz.

NORWID O NARODZIE I PRACY

Kazimierz Braun

23 maja 1973 roku minęło 90 lat od śmierci Cypriana Norwida. Zmarł w paryskim przytułku w całkowitej nędzy i ogołoceniu, samotny i opuszczony przez rodzinę, znajomych i społeczeństwo. On, który myśli o najszerzej pojętej „naprawie Rzeczypospolitej" poświęcał wszystkie siły i talent. On, autor *Pieśni społecznej czterech stron*, *Rzeczy o wolności słowa*, licznych *Not* i *Memoriałów* w sprawach narodowych. Ta dziedzina jego działalności i pisarstwa jest do dzisiaj mniej znana. Poniżej zamieszczamy, tym właśnie publicznym sprawom poświęcony, fragment scenariusza Kazimierza Brauna pod tytułem *Piszę pamiętnik artysty...* Tekst oparty jest o różne fragmenty autorstwa Norwida. Rzecz była nadana przez Telewizję 9 marca 1970 r. i do tej pory nie drukowana.

Scena 6
Zgromadzenie publiczne

(Mroczna sala. W rzędach krzeseł słuchacze. Norwid przemawia; stoi za stołem).

NORWID: Było życzeniem zgromadzonych, ażebym dziś przemówił — czymże jednak potrafię to zawdzięczyć, jeśli nie PRAWDĄ o narodowych rzeczach, czymże uczcić potrafię dzień, który jest rocznicą odezwania się wszystkich sił narodu przeciw mocom nieprawdy.

(Po chwili) Bo naród, ziomkowie, jest to najstarszy, po Kościele, obywatel na świecie. A każde prawe serce polskie jest jednym pulsu uderzeniem tej zbiorowej osoby. Głosem tego narodu jest harmonia ojczysta, mieczem jedność i zgoda, celem — prawda. Naród idzie przez krew, popiół, przez rozczarowanie i przez słowo i przez to co DZISIAJ się nazywa. A przecież DZIŚ rozumiem to poświęcenie się codzienne i cogodzinne, cochwilowe, i to widzenie w każdej osobie narodowego interesu. Bo ojczyzna to jest wielki zbiorowy obowiązek!

A oto co dla wypełnienia tychże obowiązków na teraz dokonać należy: Towarzystwa Przyjaciół Pracy założone być powinny. Składać je winni ludzie w różnych kierunkach specjalnie uzdolnieni. Towarzystwa powinny urządzać sobie kasy i ogłaszać konkurs co pół roku lub co rok. A konkursy winny być w przedmiotach pracy wszelkiej.

— Konkurs na sprawozdanie o kopalniach kamienia ciosanego i możebnym użytkowaniu jego w budownictwie.

— Konkurs na sprawozdanie o wypalaniu cegły architektonicznej.

— Konkurs na sprawozdanie o sztuce krycia dachów, o płotach i studniach, na rozwiązanie natury budynków gospodarskich — domu wiejskiego — spichlerza — zajazdu, na wzorowe ogrodnictwo.

— Konkurs na elementarno geodetyczną książkę, na elementarną botanikę, na elementarną mechanikę, na elementarną astronomię.

Dość jest spojrzeć na chłopa polskiego i na przepaść między nim a szlachcicem i dość jest zrozumieć, że szerokość tej przepaści jest miarą oddalenia powstania narodu — a znajdzie się praca!

(Poruszenie na sali. Zbliżenie dwóch szepczących osób).

Tak, Szanowne panie i panowie, gdyby, pod koniec średnich wieków powiedział kto, że nie tylko szlachta, ale i mieszczańswo będzie miało swój głos w kierownictwie narodu, wydawałoby się to wymysłem. A byłoby pomysłem! Gdyby następnie odezwał się kto inny, że nie tylko mieszczaństwo, ale nawet i warstwa ludu z głosem swoim odezwać się musi, wzięto by to za wymysł, a byłby to pomysł i wynik nieodzowny! Dziś...

GŁOS Z SALI: Nie przyszliśmy tu słuchać impertynecyj asana!

NORWID: *(Kontynuuje)* Dziś mam zaszczyt oznajmić, że mówiąc o sprawach narodu konieczne jest naprzód pojęcie narodowej PRACY mieć i poznać. Przez nią idzie pojęcie oryginalności narodu. I własnej narodu osobowości. Praca jest tak dalece samodzielnością, iż najemnik ulicę brukujący, jeśli tylko tak jak drudzy ręką rusza a nie wkłada w robotę swego oryginalnego akcentu... to próżniak... i doświadczony dozorca pracy oddala go. Nikt ze smętnością większą do pracy się nie zabiera jak pańszczyźniany kmieć... i jakkolwiek postawisz taką pracą piramidy, jednakowoż nie postawisz taką pracą na nogi chromego narodu!

SŁUCHACZ I: Bezcześcisz pan rocznicę, dla uczczenia której zeszliśmy się tu pospólnie!

SŁUCHACZ II: Krew braci naszych wylana nie takiej to mowy warta!

SŁUCHACZ I: Ta krew była wylana przez konających ludzi! Którzy może się omylili, ale wylali tę krew ze wszystkich żył swoich na to, aby ci, co po ich śmierci żyć będą byli swobodniejsi i szczęśliwsi i wyżsi!

(Ogólne poruszenie na sali, gniewne głosy i okrzyki)

NORWID: Ja nie wierzę, ażeby krew jeno zdobywała przyszłość! Ja wierzę, że pot czoła, a nie krew! Kapitalna to różnica pojęć!

SŁUCHACZ II: Kija na takiego!

SŁUCHACZ III: Spokój, spokój, cisza! Nie obrażajcie panowie samej powagi zgromadzenia naszego!

SŁUCHACZ I: Ten to niewczesny mówca powadze naszej ubliża!

SŁUCHACZ II: Kija! Kija trzeba!

SŁUCHACZ III: Cisza!

NORWID: Kija, powiadasz waszmość dobrodzieju... Tak ci to i jest zawsze w narodzie naszym. Każdy zdradził, co powiedział choć cień prawdy! Piotr Skarga, zagrożony był kijami właśnie od dobrych Polaków, kiedy schodził z mównicy, z której prorokował...

SŁUCHACZ II: Zakazać!

SŁUCHACZ III: Niech mówi!

(Narastające wrzenie na sali. Głos Norwida z trudem przebija się przez tumult. Zbliżenia rozgorączkowanych twarzy słuchaczy. Głos Norwida początkowo zza kadru).

NORWID: ... Jan Trzeci Sobieski, okrzyknięty był zdrajcą ojczyzny od patriotycznych Polaków zgromadzonych naówczas w Gołębiu. Maurycy Mochnacki, zelżony został na ulicy jako agent obcego rządu, skutkiem rękopisu, którego do dziś nikt nie zna i nikt nie czytał i nie widział. Zygmunt Krasiński uderzony w policzek od dobrego Polaka. Władysław Zamoyski uderzony kijem od dobrego Polaka, przed kościołem Świętej Magdaleny w Paryżu, Generał Bem dwa razy dosięgany kulą z pistoletu dobrego Polaka, i ocalony jeno cudownie. Ludwik Mierosławski uderzony w policzek przez heroicznego Polaka w Paryżu. Przyjaciel Polski Lord Dudley Stuart uderzony kijem w Londynie przez dobrego Polaka...

SŁUCHACZ II: *(Zrywa się wali laską w krzesło)* To dość jest! Protestuję! Wychodzę!

(Wrzawa na sali. Parę osób wychodzi trzaskając drzwiami)

NORWID: Mógłbym mówić dalej, ale nie chcę, bo zlekceważą aż do czasu, a potem i nic nie wspomną. Ani jednego nie ma co by inaczej był zawdzięczony...

(Rosnąca wrzawa na sali. Słuchacze wychodzą. Twarz Norwida przesłaniana wychodzącymi).

NORWID: Ojczyzna to nie jest sekta! A patriotyzm to musi być siła twórcza! Nie zaś siła zeschnięcia się i egoizmu!

(Odjazd do pełnego planu. Sala jest prawie pusta. Zostało tylko kilku młodych ludzi. Zbliżenia młodych, poważnych twarzy. Zbliżenia Norwida).

NORWID: Nic nie będzie poczciwego w narodzie, w którym ENERGIA jest sto, a INTELIGENCJA — trzy...

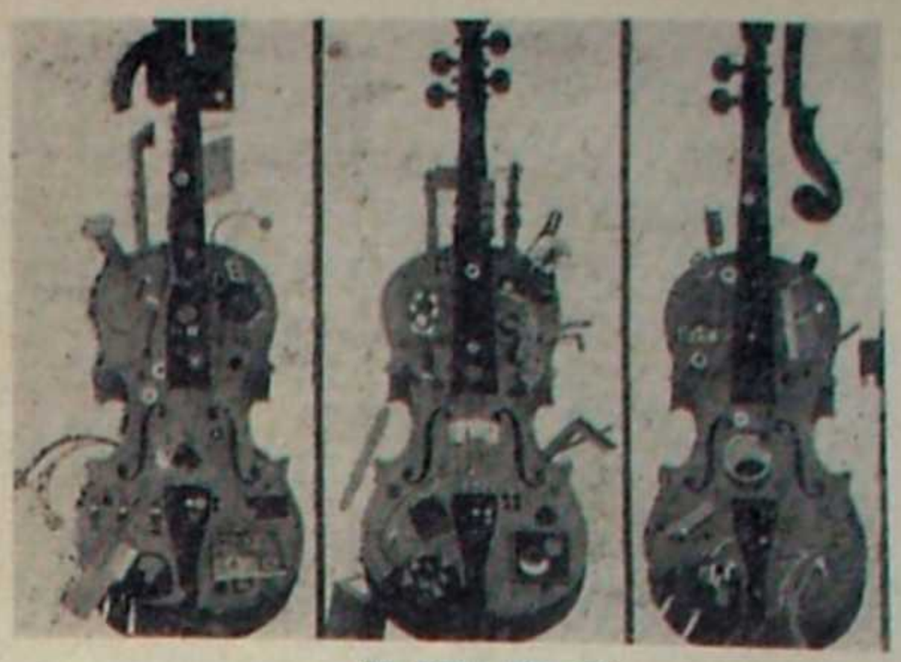

Jan Popek „Skrzypce"

Ludzie kocham was!

Ireneusz J. Kamiński

W MAJU w „salonie krytyków" lubelskiego BWA czynna była wystawa malarstwa Jana Popka, na której artysta pokazał m. in. kilka prac powstałych w ubiegłym roku, wartych szczególnej uwagi. Sygnalizują one bowiem pewne zmiany zachodzące w obrębie tej twórczości, których konsekwencje prowadzą poza typ obrazowania właściwy np. „Lalce" Popka, eksponowanej kilka lat temu na festiwalu szczecińskim. W tamtym okresie artysta przywiązywał jeszcze spore znaczenie do malarskiego komponowania powierzchni obrazów, ich ekspresja wynikała z odpowiedniego rozłożenia koloru, z posługiwania się drapieżną formą, układającą się zgodnie z określonymi zasadami budowy dzieła plastycznego. Metafora i symbol, bodaj od początku obecne w twórczości Popka, były podporządkowane owym zasadom. Nawet elokwentne „Skrzypce", zatłoczone śrubami, przewodami i szczątkami różnych mechanizmów, przy pierwszym zetknięciu zwracały uwagę przede wszystkim swoją kompozycją kolorystyczną.

A teraz pokazał Popek „Trzy szafy", które i owszem, pod względem formalnym są bez zarzutu, ale ta sfera obrazu nie decyduje o jego atrakcyjności. Nie ma on też nic wspólnego z ekshibicjonizmem wcześniejszej „Śruby", gdzie postać kobieca została zredukowana do określonych części anatomicznych, przewrotnie „zaciemnionych" barwnym rozmalowaniem w szerokie, faliste pasma. „Trzy szafy" atakują wyobraźnię widza przy pomocy zwięzłych tekstów wpisanych w płaszczyznę, wymalowanych na drzwiach centralnego przedmiotu, który zdaje się kryć jakąś „ludzką sytuację".

Przekonuje więc Popek, że „jesteśmy w szafie, jeszcze żyjemy", w innym miejscu informuje, że „jesteśmy, ciepło nam, dobrze nam, cicho nam". Próbuje także strofy poetyckiej: „i skuleni w czarnym kącie przy zamkniętych drzwiach i opuszczonych zasłonach w oknach, oczekujemy więc na ponowny powrót do siebie". Może to i wszystko trąci naiwną zabawą Jana Popka w „Wielką Tajemnicę Osobistą", o którą autor pozwala otrzeć się intruzom tylko treścią inskrypcji, lecz nie sposób oprzeć się uczestnictwu w tej zabawie. Chcąc nie chcąc wyobraźnia odbiorcy — mówię we własnym imieniu — pakuje się do tej gdańskiej bodaj szafy, meblując jej wnętrze według własnego uznania i możliwości.

Kilka lat temu w warszawskiej „Galerii Współczesnej" Boguckich młody Dłużniewski postawił wysoki wałec z dykty, o średnicy chyba ponad metrowej, w którego boku znajdował się niewielki otwór. Patrząc przezeń widziało się ptaszy jakiegoś faceta, zwróconego przodem do zawieszonej na kołku marynarki. Nic poza tym, więc ludzie podchodzili do otworu, gapili się, uśmiechali ironicznie, no i po chwili znów przypadali okiem do dziury. Popek jest jeszcze bardziej powściągliwy, zamiast szczeliny, do wnętrza szafy wprowadza tekstem wymalowanym na jej drzwiach, co niejako uszlachetnia całą sytuację. W pełnym jednak momencie rezygnuje z sugestii i aluzji, ogłaszając wprost: „Ludzie, kocham was!" Wobec takiego wyznania wiary adresat staje bezradny i nieco zażenowany, albowiem już zupełnie nie wie: wierzyć artyście, czy nie wierzyć, kpi on, czy o drogę pyta?! Jeśli jednak sposób bycia może świadczyć o filozofii (życiowej) artysty, to przecież wypada mi powiedzieć: Jan Popek, weteran traktu warszawskiego Hopfer — Dziekanka — Pod Kominem — Zamość — Lublin, jest człowiekiem godnym zaufania.

Jak wspomniałem, struktura formalno-wyrazowa „Trzech szaf" sugeruje zmiany zachodzące w twórczości Popka. Kontynuacja poetyki tego obrazu może zaprowadzić Popka poza malarstwo, czy ja wiem, choćby nawet w kierunku, gdzie „być artystą" jest raczej kwestią samookreślenia postawy moralnej i ideowej na drodze społecznego uczestnictwa, bezpośredniej demonstracji, niż utrwalania swoich doznań i przemyśleń w postaci obrazu, rysunku czy rzeźby. Nie sądzę jednak, żeby do tego doszło, albowiem Jan Popek cení sobie samą czynność malowania, wyznaje klasyczne przekonanie, że materialna konkretyzacja wizji wzbogaca ją, rozbudowuje i dopełnia o nieprzewidziane elementy. Zresztą obok „Trzech szaf" pokazał artysta obraz zbudowany z zielonych koncentrycznych kręgów, na których pojawiają się twarze i sylwetki ludzkie, znaki sponiewierania z wyboru i społecznych konieczności. Jest to obraz wyjątkowo udatny kolorystycznie, narzucający się oczom.

Jedno nie ulega wątpliwości: obecna twórczość Popka jest mniej krzykliwa, dawne obsesje zanikają, a myślenie o świecie poszerza się o rejony dotychczas lekceważone, leżące poza sferą intymnych doświadczeń, która jeszcze dwa lata temu niepodzielnie rządziła treścią obrazów. Co nie znaczy, że malarstwo przestało być dla Jana Popka środkiem zapisu własnych przygód. Inna jest przecież geografia tych przygód.

Kazimierz Andrzej Jaworski

* * *

A one trwają zawsze z ostrych wierchów piłą,
za pan brat z wichurami, z chmurami i słońcem,
jak w dni mojej młodości... Ach, kiedyż to było!
Co jest zrazu początkiem, musi stać się końcem.

Iluż dziś już zabrakło, z kim się tam chodziło,
ludzi sercu tak bliskich, urwiska depcących.
Byliśmy wszyscy młodzi. Ach, kiedyż to było!
Wszystko, co się zaczyna, po latach się kończy.

Me serce jeszcze bije, chociaż brak mu siły.
Już ku szczytom się nie pnę, tylko je wspominam.
A tyle ich zdeptałem... Ach, kiedyż to było!
Wszystko musi się skończyć, co się rozpoczyna.

Pamięci Jana Rzewnickiego autora „Moich przygód w Tatrach"

Gdybym mógł wtedy poznać ciebie, panie Janie
ręce nasze by razem wczepiały się w skały,
buty podkute raźnie w głazy uderzały,
łączyłoby nas bowiem wspólne miłowanie.

A jednak nasze kroki w górach się spotkały,
jak piszesz w swych wspomnieniach, kiedyś pod Krywaniem.
Wymiana zdań: „Zanosi się chyba na lanie?"
„Mgła otuliła niemal już wierzchołek cały".

Tatry cię pożegnały wkrótce już na zawsze.
Nie dla ciebie już one... Częściowy paraliż...
Lecz pozostał pamiętnik, a w nim górski azyl.

Potem wojna, powstanie i te dni najkrwawsze.
I ten koniec okropny, gdyś się żywcem spalił...
— — — — — — — —
Wciąż jestem z twoją książką, z tobą w Tatrach razem.

Niewdzięczność

Kto by myślał, że z taką spotkasz się zniewagą,
towarzyszko mych wypraw, siostro ma, ciupago!
Stoisz w kącie pokoju jak sprzęt niepotrzebny,
ty, któraś przemierzała ze mną szlak podniebny.

Toporek twój zardzewiał, ostrze się stępiło,
a kiedyś nim o skały uderzałem z siłą,
zagłębiałem cię w śniegu dla asekuracji,
towarzyszyłaś wiernie mi w czasie wakacji.

Dzięki tobie w gęstwinie ścinałem sucharze,
bym nocą mógł się ogrzać przy ogniska żarze.
Leżałem obok ciebie w niejednej kolebie,
wsłuchany w szum strumienia, tonąc w gwiezdnym niebie.

Dziś topór twój zardzewiał, stępiło się ostrze
i tak się odwdzięczyłem towarzyszce-siostrze...

Dwa dzwonki

Dwa dzwonki czarnoksięskie w pokoju na ścianie.
Potrząsnę je i zacznie się wywoływanie.

Oto jeden — ton głębszy wydający z siebie
odsłania mi zberceniem ostry górski grzebień,
ponad którym się chmurki malują na niebie,
i hala, i pędzące owce do udoju,
i boczny stróż porządku szczekające psisko.
Wracam właśnie z Granatów z towarzyszką moją,
by na nocleg przygarnąć nas mogło schronisko—
i wszystko to się dzieje tu, w moim pokoju.

Potrząsnę drugi dzwonek, ten łagodniej zbercy.
Idę ścieżką przez Boczań. A cóż to tam sterczy?
Piramida? To tylko rycerz Giewontowy
wygląda tak, odmieniec pozbawiony głowy.
A w Jaworzynce zgodnie turlikają owce
wydeptując na zboczach trawiaste manowce.

Znowu dzwonię — tym pierwszym teraz dla odmiany
i wzrokiem zachwyconym poleruję ściany
Rohacza, co mi z grani pochnie Matterhornem,
a z dołu dolatują mnie dźwięki niesforne
piosenki, co się kończy przeraźliwym wrzaskiem:
to dziki i namiętny krzyk jurnej juhaski,
której owce się pasą brzęcząc na uboczy.
To wszystko jest, choć było, i widzą to oczy.
„Ej, góry, nasze góry, dałbym was ozłocić,
ej, kieby mi się mogły moje lata wrócić..."

1973

TROCHĘ O PANU BOGU TROCHĘ O TOWARZYSZU MAJEWSKIM

Ryszard Liskowacki

DOBRZE pamiętam ten dzień, bo to było akurat wtedy, gdy miało się odbyć poświęcenie naszego ołtarza. Przyprowadziliśmy księdza aż z ulicy Gdańskiej, z tego małego kościółka, w którym w każdą niedzielę był taki tłok, jak w tramwaju, tuż przed policyjną godziną. Ksiądz szedł bardzo pomału, bo był stary, a my opowiadaliśmy mu o tym naszym ołtarzu. Wydawało nam się, że o niczym innym nie wypada księdzu opowiadać. Więc mówiliśmy. Szeptem. Zapominając, że nie jesteśmy ani w kościele, ani w zakrystii, tylko na warszawskiej, okupacyjnej ulicy. Więc mówiliśmy jeden przez drugiego i może ksiądz nie rozumiał tej naszej podnieconej gadaniny: „A stolik, na którym stoi krzyż, dała pani Molejkowa, a krzyż, który stoi na stoliku, dał pan Kowalik, inwalida z pierwszej wojny światowej, trochę głuchy, ale bardzo pobożny, a cztery świeczniki, chyba posrebrzane, przyniosła żona fryzjera, a wazony kupiliśmy za własne pieniądze, bo przez cały tydzień kradliśmy jabłka i uzbierało się z tego parę groszy, ale to chyba nie grzech, chcieliśmy, żeby nasz ołtarz wyglądał przyzwoicie, a kwiaty przyniosła pani Śląska, z własnego ogrodu, przyniosła, chociaż każdy wie, że jest skąpa, a dywanik dał właściciel kamienicy, pan Rozenfeld, i teraz ołtarz jest bardzo piękny, sam to ksiądz już za chwilę zobaczy i ten ołtarz mieści się w altanie, która stoi na środku podwórza".

I tak zabawiając księdza rozmową zaprowadziliśmy go aż na naszą ulicę Marii Kazimiery, aż na nasze podwórze, gdzie zgromadziło się już sporo ludzi. Przywitano księdza bardzo serdecznie, a pani Molejkowa pocałowała go w rękę i powiedziała głośno, jakby w imieniu całej kamienicy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, witamy wielebnego księdza i prosimy, aby ksiądz poświęcił nasz ołtarz, abyśmy mogli w każdy wieczór wznosić modły do Boga". Ksiądz położył rękę na ramieniu pani Molejkowej i milczał dłuższą chwilę, a wszyscy zaczęli się niepokoić, że w ogóle nie odpowie na to powitanie. Bo wszyscy zdawali sobie sprawę, iż ten nasz ołtarz był jednym z ostatnich wzniesionych na Marii Kazimiery, a może nawet na całym Marymoncie. Na wszystkich sąsiednich podwórzach już od kilku miesięcy rozlegały się wieczorem różne litanie i pobożne śpiewy. Więc może ksiądz miał nam za złe, że tak bardzo długo sposobiliśmy się do tych świętych i bądź co bądź narodowych obrzędów. Ale wreszcie rozległ się głos księdza i wszyscy odetchnęli z ulgą. Ksiądz przymknął oczy, jakby się chciał bardziej skupić i tak powiedział: „Cieszę się, moje dzieci, że w tych ciężkich chwilach nie zapomnieliście o Bogu. Bóg także o was nie zapomni. Pamiętajcie, potrzeba nam dzisiaj, jak nigdy dotąd, wiele świętej wiary, aby przeżyć to wszystko, co jest okrutne, bezbożne, szatańskie. A więc prowadźcie mnie do swego ołtarza".

I wszyscy poszli w kierunku altany przystrojonej kwiatami i zielem, jak na wielkie święto. Ale tylko nieliczni mogli wejść do środka. I weszli tam tylko ci, którzy się najbardziej zasłużyli przy wznoszeniu ołtarza. A więc weszła pani Molejkowa i fryzjer z żoną i właściciel kamienicy z całą rodziną i pan Kowalik i pani Śląska ze swoją jedynaczką, bladą i piękną Lidką ubraną jak do komunii w białą sukienkę, i jeszcze kilka osób. Zapalono świece, a ksiądz usiadł na podsuniętym mu przez Kowalika krześle, aby chwilę odpocząć, bo miał już chyba ze siedemdziesiąt lat i bardzo go musiała zmęczyć ta wędrówka z Gdańskiej na Marii Kazimiery. Pani Molejkowa wykorzystała ten moment, aby poprawić kwiaty w wazonach, a pani Śląska szturchnęła Lidkę w plecy i Lidka uklękła natychmiast przed ołtarzem. Ci, co nie dostali się do środka altany, zaczęli się nagle przepychać, bo każdy chciał być bliżej ołtarza i każdy chciał widzieć na własne oczy, jak ksiądz będzie machał kropidłem. „Nie pchać się, na miłość boską — zawołała pani Śląska — to jest przecież święte miejsce". „Jeszcze nie święte, bo jeszcze nie było poświęcenia" — ktoś jej niegrzecznie odpowiedział i ludzie pchali się coraz bardziej.

Ksiądz oddychał ciężko, bo w altanie zrobił się taki tłok, że nawet najmłodszej córce właściciela kamienicy spływał pot z czoła. Więc pan właściciel też się zaczął denerwować i krzyknął, odwracając się plecami do ołtarza: „Czy my tu przyszliśmy się modlić, czy my tu przyszliśmy na jarmark?" Nikt mu na to pytanie konkretnie nie odpowiedział, ale ci, co byli na podwórzu, nie przestali się pchać do altany. Wtedy przysunął się do księdza pan Kowalik i szepnął: „Niech ksiądz zaczyna w imię Boże, bo nas tu wszystkich stratują na amen". I ksiądz był chyba tego samego zdania. Wstał z krzesła, podszedł do ołtarza i uklęknął obok Lidki, która miała zamknięte oczy i wyglądała jak prawdziwa święta. Wszyscy się nagle uciszyli, bo zbliżał się przecież najważniejszy moment.

I wtedy właśnie, w tej największej ciszy, gdy czekaliśmy na głos księdza, rozległ się nagle głos Mietka Skowronka, gazeciarza wychowywanego przez babkę, a prawdę mówiąc, to nawet nie przez babkę, tylko przez ulicę. „Patrzcie, patrzcie, co ja tu za tą deską znalazłem" — darł się Mietek i ci, co byli bliżej, zobaczyli w jego garści jakieś wymiętolone papierzyska. „Cicho bądź, szczeniaku, nie grzesz w takiej chwili" — powiedziała pani Molejkowa i ktoś tam nawet ją poparł, ale inni, szczególnie ci, co się nie dostali do altany, zaczęli wołać: „Co znalazłeś? Co tam masz? Co to za pisma? Podaj, pokaż, przeczytaj!" Mietek tak się rozochocił i podniecił tym swoim odkryciem, że całkiem zapomniał, gdzie się znajduje i po co tu w ogóle przyszedł. Rozprostował wygniecione kartki i zaczął czytać: „Polska Partia Robotnicza jest jedyną partią stojącą na gruncie bezkompromisowej walki z hitlerowskimi mordercami narodu polskiego. Polska Partia Robotnicza walczy o silną, niepodległą i suwerenną Polskę, walczy o Polskę demokratyczną, o przebudowę społeczną i gospodarczą..." Ksiądz jeszcze klęczał, ale już się zaczął gramolić z kolan. Pani Śląska zawołała: „Barbarzyństwo. Przestań czytać, to komunistyczna ulotka". Pani Molejkowa dopadła do ołtarza i zgasiła świece dochodząc prawdopodobnie do wniosku, że bez płonących świec ołtarz jest mniej ważny, a więc i popełniony przez Mietka grzech stanie się natychmiast trochę mniejszy. A Mietek czytał dalej: „Polska Partia Robotnicza dąży do ułożenia dobrosąsiedzkich i sojuszniczych stosunków z ZSRR oraz szczerych stosunków ze wszystkimi państwami, które walczą z naszym śmiertelnym wrogiem — Niemcami". Ksiądz przepychał się w stronę wyjścia, chociaż pani Śląska uczepiła się jego sutanny i próbowała go zatrzymać. „Ja nie przyszedłem tu do was na komunistyczny wiec, moje dzieci — szeptał ksiądz i miał najprawdziwsze łzy w oczach — ja przyszedłem do was ze słowem bożym". A za jego plecami darł się ciągle Mietek: „Polska Partia Robotnicza zmierza do zjednoczenia sił całej polskiej demokracji". Aż ktoś Mietkowi zatkał gębę i zrobiła się żenująca cisza, jak w prawdziwym kościele, chociaż altana nie była żadnym kościołem, a ksiądz dawno już wybiegł na podwórze.

Nasza kamienica stała się od tego momentu bardzo sławną kamienicą. Nawet na Potockiej i na Klaudyny i na Kamedułów opowiadali głośno o tej historii z peperowskimi ulotkami. A nasz ołtarz został poświęcony dopiero w miesiąc później. Przez innego księdza. Mogliśmy więc już i my śpiewać wieczorem przed własnym ołtarzem „Kto się w opiekę odda Panu swemu..." i śpiewając myśleliśmy często: kto przechowywał te ulotki w altanie? Kto w naszej kamienicy jest komunistą? I tak myśleliśmy o tym aż do czerwca 1944 roku, bo w drugiej połowie czerwca rozlepiono znów czerwone afisze. Szedłem wtedy z Mietkiem Skowronkiem na Plac Wilsona i zatrzymaliśmy się przed tym obwieszczeniem, które zaczynało się dokładnie tak: „W czasie od 1— 15. 6. 1944 roku w Warszawie zostały znowu wykonane niecne i podłe napady na Niemców i osoby będące w służbie niemieckiej, kilku Niemców i Polaków, będących w służbie niemieckiej, zostało przy tym zabitych lub ciężko ranionych. Wszystkie te zbrodnie wykonali komuniści lub osoby z nimi związane, i to w sposób podły i podstępny. Wobec tego w dniu 16. 6. 1944 r. następujących 75 komunistów skazanych przez Sąd Doraźny Policji Bezpieczeństwa na karę śmierci za przestępstwa polityczne w służbie Moskwy, wykonanie wyroku jednakże chwilowo wstrzymano..." I teraz czytaliśmy pomału, jakbyśmy się chcieli tych nazwisk nauczyć na pamięć. Czytaliśmy, czytaliśmy i obok nas czytali także tę długą listę inni ludzie. I nagle Mietek krzyknął: „Patrz, rozwalili naszego Majewskiego". I przytknął palec do mokrego jeszcze od kleju obwieszczenia. „Tutaj, tutaj jest nasz Majewski, o rany boskie, taki równy facet... taki równy facet, a komunista". Już nie poszliśmy na Plac Wilsona, biegiem wróciliśmy do domu i zaraz wszystkim opowiedzieliśmy, że Majewski został rozwalony i że jest napisane na obwieszczeniu, że działał w służbie Moskwy, a więc w służbie Pepeeru. Majewski mieszkał samotnie w naszej kamienicy i nikt nie znał jego rodziny, która przebywała podobno w Radomsku, ale kto to mógł naprawdę wiedzieć? Był człowiekiem bardzo spokojnym i bardzo grzecznym. Z nikim się w kamienicy nie zadawał i zupełnie nam nie pasował do komunistycznego portretu. Pan Kowalik oświadczył nawet głośno: „Ja tego zupełnie nie mogę zrozumieć, Majewski komunistą? Przecież on nikogo nie agitował i nikomu nie opowiadał ani o Moskwie, ani o Stalinie, ani o Czerwonej Armii". Ale na czerwonym afiszu było wyraźnie napisane, że Majewski był komunistą, a pani Śląska przypomniała sobie nagle, że widziała kiedyś, jak Majewski wchodził chyłkiem do altany i wszyscy zaczęli nagle gadać: „Tak, te ulotki to na pewno musiały do niego należeć. Na pewno on je przechowywał..."

Gdy w lutym 1945 roku wróciłem do Warszawy, poszedłem natychmiast na Marii Kazimiery przywitać się ze swoją kamienicą. Ale kamienicy nie było. Zostało po niej trochę gruzu i trochę cegieł. Rozejrzałem się bezradnie i wtedy dostrzegłem altanę. Dziwna rzecz. Spłonęły wszystkie okoliczne domy, ale altana została nietkniętą. Stała na swoim miejscu, jakby się na tej ulicy i na tym podwórzu nic nie wydarzyło. Podszedłem w tamtym kierunku powoli, bo nie miałem się do czego śpieszyć. Już byłem przy altanie i zobaczyłem grób. Taki mały, prawie zrównany z ziemią, ale z krzyżem i drewnianą tabliczką. Napis był zamazany, schyliłem się nisko, aby przeczytać: „Mieczysław Skowronek; lat 16 harcerz". Ja się już wtedy nie umiałem wzruszać, bo takie krzyże to była dla mnie normalna rzecz. Nawet mi serce nie zabiło mocniej, tylko tak jakoś zwyczajnie pomyślałem sobie o Mietku, o różnych jego głupich i mądrych sprawach. I jak tak sobie myślałem, to przypomniało mi się nagle, że to właśnie Mietek w tej altanie znalazł peperowskie ulotki, których ksiądz nie chciał poświęcić. Zajrzałem do altany. Była pusta, z poświęconego ołtarza nie zostało ani śladu. Tam klęczała Lidka w białej sukience, tam klęczał ksiądz, a tam przyciśnięty do ściany stał Mietek i czytał te ulotki. Kto je tutaj schował, czy naprawdę Majewski? O Mietku mogę coś nie coś opowiedzieć. To był naprawdę pierwszorzędny kumpel. Ale o Majewskim nie mogę powiedzieć ani słowa. Widziałem go kilka razy, kłaniałem mu się, bo tak mnie nauczono, żeby się kłaniać straszym. A później widziałem czerwone obwieszczenie. I tam był Majewski. I to wszystko. Gdyby nie grób Mietka, chyba bym sobie nawet nie przypomniał, że żył taki człowiek, który gdzieś walczył, za coś zginął i jego grobu nie znajdzie nikt nawet ze świecą.

(Z tomu opowiadań pt. „Kto grzeszył", wyróżnionego I nagrodą na konkursie zorganizowanym przez Wydawnictwo „Śląsk" z okazji XXX-lecia PPR)

-A po co nam pożyczka?

Dokończenie ze str. 1

ziomie i ludzie raczej akceptują innowacje agrotechniczne, chętnych nie było. To proste w końcu i efektywne rozwiązanie problemu paszowego, zaproponowane przez naukę, okazało się przecież tak szokującą nowością, że wzbudzało tylko nieufność i złośliwe uwagi pod adresem instruktorów.

Ostatecznie jednak, kiedy rolnicy uwierzyli w opłacalność całego interesu, sianie żyta na paszę stało się normą produkcyjną wsi bychawskiej. W tym roku pod tego typu zasiewy przeznaczono 3500 ha.

Modernizacja struktury upraw, wprowadzona drogą cierpliwej perswazji, bezpośrednich rozmów z rolnikami, bez nakładów inwestycyjnych, w sposób dostrzegalny przyczyniła się do zwiększenia pogłowia bydła i mleczności krów.

Jeszcze lepsze rezultaty przyniosło propagowanie korzyści dla produkcji zwierzęcej, które wynikają z uprawy słomodajnego jęczmienia; jego średnia wydajność przewyższa wydajność pszenicy. Jeśli bowiem w ub. roku zasiano 2400 ha jęczmienia, to w bieżącym — niemal dwa razy tyle. Akcentowanie potrzeby rozwoju bazy paszowej doprowadziło przy okazji do nieco kłopotliwej sytuacji, która, w innych wariantach, może się jeszcze nie raz powtórzyć, jako że interes indywidualny nie zawsze i nie całkowicie kojarzy się z interesem ogólnospołecznym. Otóż rolnicy bychawscy nie chcą siać rzepaku, z którego uprawą związane jest pewne ryzyko, przedkładając nań zboża. Jak powszechnie wiadomo, poza szybko zamienialnym na mamonę ziarnem, dają one nieodzowną przy hodowli słomę. Uczony gospodarzenia z tzw. ołówkiem w ręku rolnik ma w nosie rzepak i kontraktuje zboża, załatwiając problem umów wieloletnich aż do końca 1975 r. Ale kwestia paszy, siły motorycznej produkcji zwierzęcej, została w Bychawskiem w zasadzie rozwiązana przede wszystkim drogą ujawniania i wykorzystania rezerw.

No i rolnicy wzięli się na serio do hodowli bydła i trzody chlewnej (121 sztuk na 100 ha). Co jednak nie znaczy, że skłonni są korzystać z wszelkich metod, zwiększających podaż mięsa i mleka na nasz rynek, im zaś samym przynoszących jeszcze lepsze dochody. (W tym miejscu warto wskazać, że telewizory, radia, lodówki, pralki, kuchnie elektryczne są już typowym wyposażeniem mieszkań bychawskich producentów). Chodzi o rozwój form zespołowej hodowli zwierząt, faktycznie zainicjowany właśnie w tym powiecie, konkretnie w Krzczonowie, gdzie dwa lata temu trzech rolników przyrzekło sobie wspólne hodowanie trzody. Oddajmy im sprawiedliwość: nie pokłócili się dotąd, mało tego — obecnie przystępują do wznoszenia dużej i nowoczesnej chlewni. Poza tym istnieją jeszcze dwa zespoły — hodowli brojlerów oraz trzody; ten ostatni in statu nascendi.

— Rolnicy deklarują zainteresowanie organizacją zespołów, ale mówiąc prawdę, ogół jakby obawiał się tej historii — kłopocze się sekretarz rolny Komitetu Powiatowego PZPR, inżynier rolnik Michał Mełgieś.

Więcej inicjatywy i chęci wykazują kółka rolnicze. W Kosarzewie zakupiono właśnie od rolnika oborę i adaptuje się ją dla potrzeb tuczu trzody chlewnej metodą bezściółkową, która wzbudziła zresztą sporo emocji u okolicznych gospodarzy. Przyjeżdżają i nadziwić się nie mogą, jak to świnie żyją bez słomy, a wodę popijają przy pomocy specjalnych smoczków. Żarty żartami, ale taka właśnie, poglądowa, propaganda nowoczesnej hodowli przynosi najlepsze skutki. W Kolonii Gałęzów kółko przygotowuje pomieszczenia do hodowli trzody, w Kajetanówce organizuje się zespół tuczu trzody.

Jeśli jesteśmy przy wzorcach: w Ossowej istnieje jedyna w powiecie spółdzielnia produkcyjna, szczególnie pilnie obserwowana przez rolników indywidualnych. A oto co widzą:

— Trzy lata temu nie było u nich wiele. Wie pan, takie chałupnictwo, aby przeżyć. Dniówkę brali niewiele wyższą od 40 złotych i w ogóle słabo im się żyło. Aż przyszedł tam nowy kierownik, Flisowski Stefan, który zaczął liczyć, przymierzać. No i teraz mają brojlery rzeźne, byki eksportowe i 85 złotych dniówki, nie mówiąc o 40 arach działki przyzagrodowej — opisuje rolnik z Krzczonowa, napotkany w bychawskim „Ekspressie".

— Przykład spółdzielni w Ossowej może wpłynąć na rolników indywidualnych i pozyskać ich dla hodowli zespołowej — mówi z przekonaniem kierownik Wydziału Rolnictwa Prezydium PRN w Bychawie, inż. rolnik Kazimierz Mamaj.

Bychawscy kierownicy gospodarki rolnej posiadają wyższe wykształcenie rolnicze. 6000 rolników ukończyło kursy zawodowe, do maja przyszłego roku 1500 ma otrzymać dokument „kwalifikowanego rolnika", iluś tam będzie zdawać egzaminy na „mistrza hodowcę", „mistrza upraw polowych" etc. Aby odziedziczyć gospodarstwo, młodzi muszą mieć formalne potwierdzenie kwalifikacji zawodowych, związanych z uprawą ziemi i hodowlą. Coraz jednak mocniej zaczyna działać inny, nieurzędowy, przymus. Posiadanie rolniczego świadectwa staje się faktem obyczajnym, jeśli go nie masz, jesteś gorszy. Tego zjawiska nie ujmują statystyki i monografie naukowe, ale ono istnieje, co może potwierdzić każdy reporter. Występuje wśród pokolenia między 20 a 30 rokiem życia, które chyba jako pierwsze z pełną świadomością i z wyboru decyduje się na trwały związek, ekonomiczny i rodzinny, ze wsią. To właśnie z tej generacji rekrutują się słuchacze Telewizyjnego Technikum Rolniczego, którego punkt konsultacyjny znajduje się w Pszczelej Woli.

Ale: po pierwszym, niemal masowym zainteresowaniu się tą formą kształcenia, obecnie sprawa przedstawia się znacznie gorzej. Okazało się, że mimo wysiłków pogodzenia tych kwestii, rytm życia i pracy na wsi nie bardzo zgadza się z czasem emisji telewizyjnych programów szkoleniowych. Szczególne sprzeczności występują na tych obszarach, gdzie na większą skalę hoduje się bydło i trzodę chlewną, a do takich należy Bychawskie.

Jak przed laty, tak i dziś najpopularniejszym środkiem informacyjno-oświatowym jest radio, głównie zaś audycja „Z kogucikiem", nadawana we wczesnych godzinach rannych. Redaktora Zalewskiego z TV wszyscy jednak dobrze znają.

Racjonalna polityka rolna władz bychawskich wykorzystuje, a kiedy trzeba — przekształca naturalne i wynikające ze społecznej tradycji warunki produkcji zwierzęcej i roślinnej powiatu. Wzrasta pogłowie bydła i trzody, wzmocniono bazę paszową, średnie plony czterech zbóż osiągnęły w ub. roku 27,4 q z hektara. Można przypuszczać, że rosnące wykształcenie rolników i odmładzenie wsi oraz względy ekonomiczne przełamią opory psychologiczne, które powstrzymują dziś ludzi przed niektórymi formami zespołowego gospodarzenia. Ale równie dobrze można przewidzieć, co się stanie z miejscową produkcją zwierzęcą, jeśli utrzyma się brak wody, od pewnego czasu nękający rolnictwo bychawskie.

Pięćdziesiąt procent wsi odczuwa niedostatek wody, studnie wysychają, beczkowozy krążą po kilka i więcej kilometrów dzielących obory od zbiorników, które tylko w nomenklaturze geografów nazywają się rzekami. Na każdym zebraniu partyjnym czy ogólnowiejskim sprawa wody jest żelaznym punktem porządku dziennego. I nie chodzi nikomu

Mirosław Grudzień

* * *

Ojcu

na polu siwych gołębi
spod asyża świt strzałą z łuku
nasz czas jest kamykiem w głębię
apostolskim mierzy sandałem
ugór
we wrota rzeźbionej bajki
świeżym bukiem świętym wśród
malin

wchodzisz niebo siwieje
rosą chłodną jesiennej skargi
muszę biec struną tęczy w niewid
muszę czarty rozdeptać na łące
jak mnie znajdziesz w wieczornym
śpiewie
białych ptaków milczeniu drżącym

Henryk Kozak

Dwugłos o młodych poetach

młodzi poeci są leniwi i piszą
coraz krótsze wiersze
modnie przesiewają słowa
liczą
ważą
a gdy już wiersz wymyślą
sami sobie go czytają
młodzi poeci

Nie — proszę pana —
młodzi poeci to są tacy
podglądacze może trochę
podejrzani

żon nie biją
nie kradną
przyjaciół nie zdradzają
i nie przymykają oczu
młodzi poeci
Pomódlmy się za nich

Zdzisław Toczyński

zbieranie ziół

nie trzeba przechodzić
czerwonej linii prawdy
zapach głodu
maleje w łodygi bocianiego
chleba

lęki
staroświeckim usuwać zwyczajem
zbieraniem ziół
dziwne lekarstwo
poświęcać się czynności
babek i znachorów
trzymam podbiał czarny bez
odkurzane raz w tygodniu
przypominają rekwizyty sali tortur
chciałbym słyszeć kołysanie

AKTOR REYMONT

Eliza Sokołowska

DZIŚ aktorzy nie mają pojęcia o nędzy, jaką przeżywaliśmy w latach osiemdziesiątych. Pamiętam, byłem w trupie teatralnej, włóczyliśmy się po Lubelskim, niepowodzenie sromotne. Trzeba się było rozczepić na dwa towarzystwa, by mniejszą mieć ilość twarzy przy podziale kasy, nie pomogło i to, nowy rozłam, i to tyle razy powtórzony, że w końcu całość trupy stanowiłem sam z jedną z koleżanek — tak po latach wspomina wielki pisarz swe wczesne doświadczenia aktorskie, mniej może znane jego czytelnikom.

Droga Reymonta do teatru, a tym bardziej jego droga do literatury, nie była — jak się to mówi — różami usłana. Chowany surowo i samotnie w rodzicielskim domu, skłócony z ojcem i otoczeniem, które nie chciało go zrozumieć, buntował się przeciwko szarej monotonii życia w rodzinnych opłotkach, gdzie wszystko było zakazane. Nie mógł czytać, bo zamykano przed nim domową bibliotekę, chowano gazety, karano za najmniejsze przewinienie.

Reymont uczyć się nie chciał, pociągał go szerszy świat: *Pragnienie moje rosło codziennie, niepowstrzymanie, podsycało je wszystko — gazety, które potajemnie czytywałem, opowiadania brata gimnazisty i starszej siostry, która wyszła za mąż i zamieszkała w Warszawie i takie cuda mówiła o życiu tamtejszym, o świecie, iż wypłakiwałem się nocami z żałości i rozpaczy, że muszę żyć tak szaro, źle, nudnie.*

Wkrótce rodzice przekonali się, że szansa uczynienia z ich syna wykształconego człowieka jest znikoma, wobec czego postanowili oddać go na naukę zawodu krawieckiego do swego zięcia, Konstantego Jakimowicza, zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Miodowej. W książce meldunkowej domu Jakimowicza znajduje się wpis z datą 3 VII 1880 r. o przybyciu nowego ucznia do zawodu krawieckiego.

Reymontowi nie pozostało na razie nic innego, jak pogodzić się z wolą ojca. O tym jednak, że zawód krawiecki nie bardzo odpowiadał przyszłemu pisarzowi, świadczy wczesny jego wiersz pt. „Krawcem chciałbym zostać":

Mnie być w terminie, mnie
krawiectwo w głowie,
Mnie, co ma dusza klasyczna
w połowie?!
I oni by mnie krawczykiem może
nazwać chcieli,
Mnie — czy ci ludzie znów nie
zidiocieli?

Jeśli mimo wszystko pozostał w terminie, to chyba dlatego, że w domu Jakimowiczów ze szczególnym sentymentem mówiło się o teatrze. W każdą sobotę terminatorzy, a więc i Reymont, otrzymywali od pana Jakimowicza po 40 kopiejek na wstęp do teatru lub opery. W niedzielę natomiast musieli zdawać sprawozdanie z oglądanego spektaklu. W imieniu terminatorów bardzo chętnie składał je sam Reymont, odtwarzając przy tym akcję sztuki i naśladując całkiem nieźle grę aktorów.

Adam Grzymała-Siedlecki w książce „Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim" pisze, że cioteczny brat Reymonta, gimnazista z Piotrkowa, pan Karwasiński, podczas odwiedzin w Warszawie był zaskoczony znajomością literatury i sztuki u swego krewniaka.

U Jakimowiczów powstaje domowy zespół teatralny, którego inicjatorem i założycielem jest młody terminator. Sam dobiera repertuar i reżyseruje sztuki, w których grywa ważniejsze role. Występy na domowej scenie dają mu złudzenie wyzwolenia i niezależności.

Terminowanie u krawca trwało 6 lat, ale Reymontowi już po 4 latach pozwolono przystąpić do egzaminu czeladniczego. Inspektor szkół miasta Warszawy, któremu przedłożył świadectwo z ocenami bardzo dobrymi i dobrymi, oświadczył, że „wobec powyższego odpisu nie ma przeszkód do promowania wymienionego terminatora na czeladnika". Reymont egzamin zdał, samodzielnie skroił i uszył ubranie frakowe, otrzymując dyplom czeladnika. Majstrem wyzwalającym był Konstanty Jakimowicz, który do „skrzynki od wyzwolin" zapłacił za Reymonta 3 ruble i 20 kopiejek. Reymont wstąpił do Gospody Krawieckiej i pod numerem 1055 wpisano go do „Ksiąg Zgromadzenia Czeladzi Krawieckiej".

Kiedy Adam Grzymała-Siedlecki, zbierając materiały do biografii Reymonta, około roku 1930 odwiedził osiemdziesięcioletniego Konstantego Jakimowicza i zapytał go, jak frak był uszyty, Jakimowicz odpowiedział, że „jak na literata, to robota krawiecka była dobra".

Po akcie wyzwolin na czeladnika Reymont opuszcza warsztat Jakimowicza i zamieszkuje w wynajętej stancyjce, prawdopodobnie w okolicach Starego Miasta w Warszawie. Pogłębiają się jego zainteresowania teatralne. Jako „fachowiec od spraw teatralnych" pomaga w organizowaniu amatorskiego kółka dramatycznego u państwa Wolińskich.

Występy Reymonta w tym domowym zespole przerwała jednak policja, która na prośbę ojca odstawiła „aktora" do rodzinnego domu. Nie na długo jednak, bo Reymont, 18-letni wtedy chłopak, ucieka do jednego z teatrów zawodowych: *Miałem kolegę szkolnego w teatrze prowincjonalnym. Uciekłem z domu bez pieniędzy i przeszło dziesięć mil poleciałem do niego. Zaangażowali mnie do trupy! Zmieniłem nazwisko i powlokłem się z tym teatrem po kraju, po miasteczkach, po kątach zapadłych. Bieda żarła, ale ta swoboda, życie pełne niespodzianek, wzruszeń, fantastyczność zaczęła mi się podobać. Talentu scenicznego nie miałem, grywałem wszystko. Coś przeszło rok włóczenia z bandą.*

Fot. CAF (Archiwum)

Sytuacja materialna aktorów w końcu XIX wieku była — jak widać — niewesoła. Najbardziej pokrzywdzoną grupę społeczną stanowili aktorzy z wędrownych trup teatralnych, borykający się z trudnościami koczowniczego życia, troską o chleb i konformistyczną publicznością prowincjonalną.

Późniejsze utwory Reymonta — „Franek", „Lili", „Komediantka" — dostarczają wiele wiadomości na ten temat. W teatrze Reymont występował pod pseudonimem „Urbański". W ten sposób pragnął zabezpieczyć się przed ojcem, który w każdej chwili mógł go ściągnąć do domu, nie chciał także narazić się rodzinie swoimi kontaktami ze środowiskiem „komediantów", jak pogardliwie nazywano wtedy aktorów.

Jako aktor sukcesów scenicznych nie odnosił. Nie odznaczał się podobno ciekawą urodą i odpowiednimi warunkami fizycznymi — niezbyt wysoki, głos nie najlepszy, a do tego nosił okulary.

Aktor Wacław Szymborski, z którym Reymont występował razem na scenie, opowiadał o zabawnym incydencie, jaki przydarzył się młodemu aktorowi. Reymont grał rolę amanta w „Barkaroli" Gawalewicza, oczywiście bez okularów. Był bardzo speszony i miał silną tremę. Po skończonej roli zamiast wyjść ze sceny normalnymi drzwiami, otworzył stojącą na scenie szafę i... wszedł do jej wnętrza.

Nieustabilizowane, bezdomne życie chwilami przeszkadzało młodemu adpetowi sztuki scenicznej, który kilkakrotnie uciekał z teatru, by po pewnym czasie jednak do niego powrócić. Kochał teatr i nie mógł pogodzić się z myślą o rozstaniu: *Lubię teatr, lubię ten gwar publiczności, ten szelest afiszów, suwanie krzeseł, to ciepło zakulisowe, ten rwetes i bieganinę i ten rodzaj udręczenia, jakie sprawia trema, to wyczekiwanie wejścia, w czasie którego drży się ze wzruszenia — a potem tyle par oczów działa dziwnie magnetycznie, a nawet i upaja. Człowiek zapomina na kilka godzin o całym życiu, nędzy, upokorzeń i szaroty — i płynie, wchłania w siebie inną atmosferę — zdaje się być innym, choć to tylko nerwy dostają karmę.*

Po śmierci swego przyjaciela, Oleśniewicza, który popełnił samobójstwo 28 XI 1888 r., Reymont postanawia zerwać z teatrem ostatecznie. Nie przychodzi mu to jednak łatwo. Jak pisze Barbara Kocówna w książce „Reymont. Opowieść biograficzna", jeszcze w roku 1890 występował w Piotrkowie i w lutym 1892 r. w teatrze skierniewickim, ale z coraz mniejszym entuzjazmem.

Konfrontacja spodziewań z rzeczywistością dostarczyła młodemu adeptowi teatru wielu rozczarowań i upokorzeń.

Niedoszły aspirant sztuki scenicznej ze zdumieniem patrzy na nędzne i prozaiczne życie ludzi, których dotąd uważał za wyższych ponad stan z racji ich związku z wielką sztuką. W liście do brata pisał: *Dawny czar, jaki otaczał teatr, prysnął, dawny zapał, jaki czułem na scenie, ulotnił się bezpowrotnie. Wszystko, co tam w sercu kiedyś drgało w tym kierunku, zagasło. Przerażali mnie ci ludzie, służący niby sztuce, swoim cynicznym wyuzdaniem, swoją głupotą, pyszałkostwem zapoznanych kretynów, ignorancją i nieznajomością najkardynalniejszych już nie zasad etycznych i estetycznych, ale przepisów wprost ludzkich. To smutnie tak się rozczarować.*

Teatralna odyseja pozwoliła jednak pisarzowi poznać środowisko prowincjonalnych aktorów, dostarczyła materiału do całej prawie późniejszej działalności pisarskiej.

---

o instalację wodociągów, a o zwykłe studnie głębinowe. W minionym roku powiat zdobył się na sześć takich odwiertów, czyli zdobył się na gest dobrej woli, zrozumienia, nie mający nic wspólnego z rozwiązaniem w skali gospodarczej. Przyczyny? Brak środków. Refleksja? Jeśli w obecnej sytuacji powiat bychawski należy do przodujących pod względem produkcji zwierzęcej, to do jakich rozmiarów zwiększyłby pogłowie bydła i trzody, posiadając pod dostatkiem wody, która obok paszy jest podstawowym czynnikiem rozwoju hodowli?

Wiadomo, sprawa nie jest łatwa, tym bardziej że w zbliżonych warunkach znajduje się jeszcze kilka innych powiatów województwa, m. in. bełżycki i krasnostawski, ale coś, na łaickiego Boga, trzeba w tej materii zrobić! Trend do poszukiwania bezinwestycyjnych rezerw w rolnictwie, z wielu względów racjonalny i owocny, nie może chyba służyć jako opaska na gębę wołających o generalne rozwikłanie tego problemu. Tymczasem zwiła się posuchę — w jednostkowych przypadkach — metodą pozyskiwania środków z nagród, jakie konkretna miejscowość uzyska np. w konkursie „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej".

Jeśli w ogólnej polityce gospodarczej państwa przeznaczono Lubelszczyźnie — opierając się głównie na jej naturalnych zasobach i wielkości masy produkcyjnej — rolę zagłębia rolniczego, to chyba z myślą uruchomienia na tym terenie prawdziwie nowoczesnej produkcji towarowej, opartej m. in. o odpowiednie uzbrojenie techniczne. Prawdę mówiąc, uwaga nie na miejscu, bo cóż w końcu wspólnego łączy studnię głębinową ze współczesnością techniczną?!

Bychawskie nie ma piasku i innych naturalnych materiałów służących do budowy dróg i to jest kolejny kłopot tego ambitnego powiatu, ograniczający produkcję rolną. Dróg zbudowano tu sporo — przede wszystkim czynem społecznym rolników, co wcale nie znaczy, że ich sieć jest wystarczająca. Więc w okresie zwózki buraków dwa ciągniki muszą holować jedną przyczepę, jako że less nie piasek, prostym „sposobem" nie przejedziesz. Sporym kosztem sprowadza się, co prawda, żużle piecowe ze Śląska, kamień z województwa opolskiego, lecz ile można, a raczej — czy jest po co i za co transportować ten materiał nad Kosarzewkę, jeśli moc Powiatowego Zarządu Dróg Lokalnych wyczerpuje się na wybudowaniu 20 km dróg rocznie, a z funduszy na popieranie czynów społecznych można w tym samym okresie ułożyć zaledwie 7,5 km?! W Bychawie głowią się właśnie jak zdobyć zlecenia na roboty dla PZDL w innych powiatach, albowiem już w lipcu załoga tego przedsiębiorstwa mogłaby pójść na przydługie wakacje. Rolnicy z licznych wsi opodatkowują się na budownictwo drogowe (500 zł od hektara), lecz brak środków w powiecie na popieranie czynów społecznych mocno ogranicza tę inicjatywę.

Trudno się zatem dziwić, że na 100 ha przypada tu jeszcze 17,8 koni — zwierzę „żarte", ale przejdzie tam, gdzie traktor utknie po osie. Czeka na traktor Jadwiga Kalina ze Skrzynic, samodzielnie gospodarująca na 11 ha, osoba młoda i przystojna — jeśli wierzyć fotografii w gablocie przed Komitetem Powiatowym, w której przedstawiono zdjęcia ludzi dobrej roboty. Na ciągniki wyczekują również kółka rolnicze.

O samochodach nie ma co mówić. W lecznicach weterynaryjnych w Krzczonowie, Zabiej Woli i Dębinie — brak, w Wysokiem rozleciał się właśnie, w Jabłonnie dogorywa. W rezultacie rolnicy skarżą się na niską operatywność tych placówek. Podobne kłopoty przeżywa Powiatowy Zarząd Kółek Rolniczych, którego samochód zmarł rok temu śmiercią techniczną. A w każdej wsi bychawskiej działa kółko rolnicze...

To wszystko pestka wobec trudności z nabyciem (za gotówkę) młocarni produkowanych za miedzą, bo w Lublinie. W tej chwili 800 rolników reflektuje na te maszyny, tymczasem ich kwartalne przydziały wahają się w granicach 4—5 sztuk. Niewiarygodne, lecz można sprawdzić: znane są przypadki siedmioletniego czekania na okazję zakupu popularnej „Lublinianki". Popularnej, rzecz jasna, w innych województwach, w takich np. jak szczecińskie czy rzeszowskie, dokąd właśnie najczęściej jeżdżą rolnicy bychawscy, wracając z młocarnią zakupioną bez najmniejszych problemów. Kto tu nawala: dystrybucja centralna czy lubelska? Nieproporcjonalną w stosunku do potrzeb produkcją przemysłu wszystkiego tłumaczyć się nie da. Trudności mają swoje źródła, jak można sądzić, również w wadliwej, dalekiej od pełnego rozpoznania sytuacji w tzw. terenie, organizacji zaopatrzenia wsi w maszyny. Czy tylko w maszyny?

W dużej gminie Jabłonna nie ma piekarni, po chleb ludzie jeżdżą pod Lublin, do Głuska. Mała piekarnia w Wysokiem, które leży przy ruchliwej trasie przelotowej, w ograniczonym stopniu zaspokaja potrzeby osady i jej okolic. W samej Bychawie piekarnia GS wypieka 2,8 tony chleba na dobę, czyli za mało o 4 tony, a właściciel prywatnego zakładu (1,8 t) grozi zamknięciem interesu, jeśli nie odczepi się od niego „Sanepid". Miejska sieć handlowa składa się z małych, obskurnych sklepików, a CRS — potentat finansowy — jakoś nie kwapi się z jej modernizacją, choć nastał już po temu najwyższy czas społeczny. Poszukiwanie rezerw w gospodarce rolnej nie może ograniczać się tylko do produkcji, albowiem sfera usługowa również wpływa na poziom ekonomiczny wsi, na ludzkie zachowania i postawy.

Czego jeszcze potrzeba Bychawie? Oczyszczalni ścieków. W tej chwili w stanie surowym spływają one do Kosarzewki, w okolicach starej i o wiele za małej mleczarni woda ma kolor i gęstość białawego błocka, które lada rok, za pośrednictwem Bystrzycy, uprzyjemni nam kąpiel w Zalewie Zemborzyckim pod Lublinem. Jest to oczywiście informacja nie à propos, rezerwowa.

Tadeusz Graba

Koktajl na kaca...

ODKĄD red. M. Podgórski z Kameny odkrył, że panienka, która w ramach działalności rozrywkowej rozdziewała się do gola w restauracji Victoria jest przebranym facetem — przestałem dziwić się czemukolwiek. Ze stoickim spokojem przyjąłem nawet wiadomość, że od momentu, gdy wydano odpowiednie zarządzenia, budowlani stali się wojującymi abstynentami.

Metamorfoza nastąpiła niemal błyskawicznie. Ze sprawozdań nadsyłanych władzom wynika bowiem, że w ciągu zaledwie kilku tygodni zorganizowano kilkadziesiąt kół przeciwalkoholowych, do których spontanicznie zapisały się całe niemal załogi!

Ostatnio jedno z kół przeciwalkoholowych zaprosiło mnie na imprezę, w czasie której miało nastąpić uroczyste wręczenie legitymacji i odznak kandydatom na abstynentów, przypominające jako żywo średniowieczne pasowanie na rycerzy. Koło istnieje przy hotelu robotniczym położonym na peryferiach miasta, jak wszystkie inne hotele, gdzie również w ostatnim czasie powstały stowarzyszenia abstynentów.

Przy wejściu do sali kilka osób zawzięcie nad czymś debatowało. Niewątpliwie znajdowali się oni jeszcze poza organizacją, jako że ich głównym zmartwieniem było przeprowadzenie składki na pół litra.

Nie mniejsze zmartwienie mieli w tym dniu także abstynenci, bo frekwencja równa była niemal zeru, a impreza musiała się odbyć, gdyż znajdowała się w planach działalności kilku organizacji i stowarzyszeń. Organizatorzy nie załamali się jednak. Szybko wysłano wici do komendanta hufca, który nie zawiódł. Po dziesięciu minutach na sali zameldowała się setka junaków. Za nimi przygoniono innych, których ściągnęła z łóżek panna Ewa przysłana na imprezę przez ZMS.

Pierwszy punkt programu, którym było zagajenie, wykonała pani z Komitetu Przeciwalkoholowego. Początkowo patrzono na nią jak na przybysza z innej planety, ale gdy zapowiedziała generalną zmianę taktyki polegającą na propagowaniu kultury picia i gdy przyznała się, że sama pije wermut — spojrzenia stały się niemal ciepłe.

Po niej przemawiał agitator z TWP, który nie wiadomo dlaczego zaczął straszyć zgromadzonych na sali abstynentów karami za wykroczenia popełnione pod wpływem alkoholu. Rzecz zrozumiała, że w tym środowisku pogadanka nie mogła wzbudzić większego zainteresowania. Pocieszano się jednak tym, że na początku każdej imprezy daje się najsłabsze numery, a później bywa coraz lepiej. Pan z TWP straszył krótko. Po dziesięciu minutach spasował i po zainkasowaniu honorarium pognał na następną prelekcję straszyć innych.

Punktem kulminacyjnym imprezy miało być pasowanie na zalegalizowanych abstynentów. W tym celu wypisano ponad 40 legitymacji. Niestety, po ich odbiór zgłosiło się zaledwie kilka osób. Nie udało się wyjaśnić, czy pozostałym znudziła się abstynencja, czy też dopisano ich do listy, aby lepiej wyglądało w statystykach.

W czasie pokazu przyrządzania napojów bezalkoholowych komendant poszedł do domu. Na sali natychmiast zapanowało ożywienie. Junacy zrozumieli, że listy obecności nie będą sprawdzać i w zwartym szyku poszli w ślady swojego wodza. Hałas czyniony przez umykających junaków zbudził pijanego murarza, który dotąd spokojnie drzemał w kącie. Mistrz kielni powiódł zdziwionym wzrokiem po sali, ale po kilku sekundach zaskoczył i bezbłędnie zidentyfikował miejsce pobytu.

— Spokój, hołota z poprawczaka! — ryknął pod adresem hałaśliwej młodzieży.

Portier w służbowym uniformie zręcznie wyprowadził z sali pijanego abstynenta. Pokaz toczył się dalej.

Różnica w poglądach zarysowała się dopiero w czasie degustacji bezalkoholowych koktajli.

— Na kaca najlepszy tea z kefiru — uznał stary cieśla.

— Kiedy pomarańczowy bardziej kwaśny — oponował montażysta.

— Obaśta głupie — rozstrzygnął niewykwalifikowany. — Kto tam na kacu będzie latał za kefirem albo za pomarańczami? Browarek się strzeli i cześć...

K. Pawełek

KTO ZAJMUJE SIĘ PRACOWNIKIEM?

Jerzy Dostatni

KTO w przeciętnym przedsiębiorstwie zajmował się sprawami ludzkimi pracowników? Bez większej przesady można powiedzieć, że wszyscy — od portiera do dyrektora, a ponadto różne organizacje społeczne i zawodowe, mające w tym przedsiębiorstwie swoje komórki. Rzecz tylko w tym, że każdy zajmował się pracownikiem na jakimś wąskim, izolowanym od innych wycinku. I można by tu w różnych odmianach parafrazować przysłowie o sześciu kucharkach...

Przez długie lata w naszym zarządzaniu gospodarką dominowała technika, zresztą swoiście pojęta — uznawano ją za dobrą tylko wtedy, gdy dawała dużą produkcję. Istniejące wówczas komórki kadr zbyt często patrzyły tylko na papierki.

Przed kilkunastoma laty zaczęliśmy interesować się bliżej zagadnieniami ekonomicznymi. Ale znów dochodziło do różnych skrzywień. Często ekonomikę usiłowano podporządkować technice, chociaż — jak dzisiaj wiemy — powinno być akurat odwrotnie. Bywało również, że w praktyce rozumiano ekonomikę jako narzędzie, mające zwiększyć dochody wyłącznie przedsiębiorstwa, pozostawiając pracownikowi jedynie ewentualność satysfakcji moralnej.

Dopiero od dwóch i pół roku sytuacja zmienia się zasadniczo. Odkryliśmy na nowo starą prawdę, że o wszelkim postępie — politycznym, społecznym, technicznym, ekonomicznym i jakim kto chce jeszcze — decyduje człowiek. Nie tylko jego kwalifikacje formalne, ale także umiejętności, zaangażowanie i — osobiste potrzeby.

Mówimy też coraz częściej — a czy wszyscy jesteśmy o tym rzeczywiście przekonani? — że socjalistyczny zakład pracy to nie tylko jednostka produkcyjna, ale również ośrodek wychowania społecznego. To jakby przedłużenie wychowania w szkole, chociaż wychowanie w pracy przebiega specyficznie. Socjalistyczny zakład pracy powinien na każdym kroku przekonywać pracownika, że warto dobrze pracować. Właśnie tu powinna dojrzewać — po pierwszych fazach kształtowania się w szkole — aktywność, sztuka współżycia, poszanowanie własności społecznej, umiejętność zsynchronizowania interesów ogólnych i osobistych, przestrzeganie norm społecznych.

Pracownikowi nie można jednak stawiać tylko samych wymagań. Po stronie „ma" trzeba wpisać wiele spraw, nie tylko dotyczących wynagrodzenia. Pewnie, że każdy człowiek chce możliwie najwięcej zarobić i rzeczą przedsiębiorstwa jest pomaganie mu w tym, jeżeli wysokość zarobku idzie w parze z wydajnością i jakością pracy oraz przestrzeganiem tych wszystkich elementów wychowawczych, o których była mowa wyżej.

Chyba wszystkie ankiety, przeprowadzane wśród pracowników, tak fizycznych jak i umysłowych, wykazywały, że ogromna większość nie fetyszyzuje spraw finansowych, domaga się natomiast większej niż dotąd dbałości o sprawy socjalne, bezpieczeństwa pracy, wypoczynku, współżycia na co dzień itp. W jednym z naszych dużych zakładów pracy duże poruszenie wśród załogi wywołało złe obliczenie premii kilkuset pracownikom. Ale jeszcze większe poruszenie wywołał fakt, że służba bhp usiłowała niesłusznie przerzucić winę za wypadek przy pracy na jednego z robotników, i tak już samym wypadkiem poszkodowanego. Potraktowano to nie jako niesprawiedliwość wobec jednostki, ale wobec całej załogi.

Mówimy więc coraz więcej o sprawach pracowniczych, rzeczywiście ulepszamy i rozszerzamy troskę o człowieka, ale — trzeba przyznać — wciąż jeszcze działamy jakby trochę po partyzancku. Bez okólnika premiera czy ministra nawet w bardzo dużym zakładzie pracy nikt nie ma odwagi zmienić ukształtowanych od lat schematów organizacyjnych, już z samej istoty sprzecznych z tym, co mówimy i co chcielibyśmy osiągnąć.

Istnieje w każdym szanującym się przedsiębiorstwie rozdział między kadrami a działem zatrudnienia i płac. Usankcjonowany jeszcze tym, że pierwsze z reguły podlegają dyrektorowi, drugi dział zaś jednemu z jego zastępców. W dodatku ten rozdział obu służb pieczętuje zanikający już przecież w innych dziedzinach podział na pracowników umysłowych (kadry) i fizycznych (dział zatrudnienia i płac).

Podobnie jest zresztą z „podziałem obowiązków" pomiędzy działem socjalnym a przemysłową służbą zdrowia. Pierwszy ma dbać o to, aby pracownik, korzystając z różnych świadczeń, możliwie najdłużej zachował pełnię zdrowia. Lekarze robią to samo (lub robić powinni) poprzez badania profilaktyczne, a gdy już stwierdzają odchylenia od normy, powinni wkraczać z pomocą. Nie tylko pod postacią środków farmaceutycznych, ale także wczasów, sanatoriów, a w koniecznych wypadkach nawet dodatkowych urlopów czy świadczeń rzeczowych. Ale znowu obie służby podlegają najczęściej innym pionom dyrektorskim, jeden musi korespondować z drugim, aby mieć podkładkę wystąpienia lub odmowy, a zdanie jednego wcale nie jest obowiązujące dla drugiego.

Służbę bezpieczeństwa pracy od samego początku związano z pionem produkcji, podległym naczelnemu inżynierowi. Widziano bowiem przede wszystkim zawsze niebezpieczną maszynę, a nie obsługującego ją człowieka. Nic dziwnego że behapowiec, którego premia (i opinia) była zależna od wyników produkcyjnych, widział przede wszystkim potrzeby produkcji. Dla odmiany zaopatrzenie tejże służby bhp w odzież i urządzenia ochronne umieszczono w pionie dyrektora administracyjnego lub handlowego. No i jeżeli kierownik działu zaopatrzenia miał do dyspozycji jeden samochód, a równocześnie do pilnego odbioru np. elektrody do spawania w Rzeszowie, a okulary ochronne dla spawaczy w Warszawie — samochód z reguły wyjeżdżał do Rzeszowa.

Te i podobne nonsensy od dawna nie dawały spać ludziom, dla których słowo „człowiek" rzeczywiście brzmiało dumnie i zobowiązująco. Zaczęło się gdzieś przed ośmiu laty od nieśmiałych początkowo dyskusji na temat humanizacji pracy. Trzeba powiedzieć, że w tych dyskusjach, a następnie propozycjach, coraz częściej stosowanych w praktyce, bardzo czynny udział brało grono naukowców i praktyków z Lublina, skupionych w oddziale Towarzystwa Naukowego Organizacji i Pracy. Staraniem tej organizacji zorganizowano nawet w Lublinie kilka seminariów szkoleniowych, cykl prelekcji w poszczególnych zakładach pracy, a wreszcie ogólnopolską sesję naukową z uczestnikami, reprezentującymi wszystkie województwa oraz szereg centralnych placówek naukowych i administracyjnych.

Dzisiaj jesteśmy już znacznie dalej. Ale i problem staje się coraz bardziej palący. Wynika to nie z pogorszenia się sytuacji — odwrotnie, wiele spraw już uporządkowano, inne właśnie się porządkuje. Jednak szybko postępująca intensyfikacja produkcji zmusza do coraz bardziej wszechstronnego i kompleksowego rozwiązywania problemów głównego sprawcy tego wzrostu — pracownika. Tylko człowiek bowiem, a nie maszyny, gwarantuje wykonanie i zadań bieżących i perspektywicznych.

Stąd też zarówno nauka jak i praktyka wysunęły jako jedno z pilnych zadań integrację i odpowiednie usytuowanie w schemacie organizacyjnym przedsiębiorstw wszystkich służb zajmujących się człowiekiem. Staraniem Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego w Warszawie oraz Oddziału TNOiK w Lublinie odbyła się w naszym Domu Technika dwudniowa sesja naukowa na te właśnie tematy. Właściwie nawet dwie sesje, bo ze względu na zgłoszenie się ponad 600 osób z całego kraju imprezę trzeba było powtórzyć.

Niestety, przedsiębiorstwa przemysłowe z województwa lubelskiego nie wykazały nadmiernego zainteresowania tą sesją. Myślę zresztą, że chociaż materiały były oparte na badaniach i doświadczeniach przemysłu (maszynowego), to cała problematyka byłaby bardzo użyteczna także dla przedsiębiorstw innego typu, np. budowlanych czy handlowych, a także dla spółdzielni pracy. Świadczą o tym chociażby same tytuły wygłoszonych referatów, których autorami są naukowcy od magistra począwszy a na profesorze skończywszy. Oto tytuły: 1) System kształtowania kadr w przedsiębiorstwie przemysłowym, 2) Doświadczenia niektórych krajów socjalistycznych w zakresie funkcjonowania służb osobowych w przedsiębiorstwie przemysłowym, 3) Kształtowanie zachowania się produkcyjnego młodych inżynierów w przedsiębiorstwach zachodnich, 4) Człowiek w nowoczesnej organizacji przemysłowej, 5) Socjologiczne aspekty integracji służb zajmujących się człowiekiem w przedsiębiorstwie przemysłowym. W sumie stanowi to całe kompendium wiedzy, która w możliwie najkrótszym czasie powinna znaleźć zastosowanie w praktyce. Dobrze się stało, że owe referaty zostały powielone i trafiły w formie broszur do rąk każdego uczestnika. A równocześnie szkoda, że ilość odbitek została do tego tylko kręgu ograniczona.

Publikowane w bieżącym numerze dwa listy czytelników „Kameny" pokazują, jak wiele jest jeszcze do zrobienia w sprawach, które wydają się najbardziej proste i oczywiste. W kuluarach sesji też mówiono — szkoda, że nie publicznie — o różnych dziwnych sprawach. Oto w jednym z przedsiębiorstw węgierskich narady czy obrady odbywają się na stojąco. To znaczy stoją wszyscy uczestnicy, z dyrektorem czy delegatami ministerstw lub zjednoczeń na czele. W rezultacie narady są krótkie i treściwe, ludzie pracują, a nie gadają. Ja natomiast byłem niedawno na pewnej dość ważnej naradzie w sprawie inwestycji. Większość zabierających głos raczej składała sprawozdania z wykonania planów, niż informowała o kłopotach czy brakach. Na końcu zaś delegat jednego z centralnych urzędów „podsumował" naradę odczytując powielony tekst przemówienia, przygotowanego widocznie na podobne narady w innych miastach. Było w tym wystąpieniu bardzo wiele słusznych stwierdzeń i wskazówek, tyle że ogólnikowych, zawieszonych w próżni, nie dotyczących konkretnych problemów naszego miasta lub województwa. W ten sposób strata czasu przez kilkudziesięciu ludzi powiększyła się jeszcze o piętnaście minut.

Podawano też inny przykład z Francji. Otóż tak zwany tam „pedege" czyli prezydent-dyrektor generalny dużego koncernu latem zafundował dyrektorom podległych fabryk dwutygodniowy urlop na Lazurowym Wybrzeżu — na koszt firmy. Potem urządził im coś w rodzaju szkolenia, które trwało tydzień. Równocześnie z zakończeniem tej całej imprezy wysłał do przedsiębiorstw specjalistów, aby stwierdzili, jak pracują przedsiębiorstwa podczas nieobecności dyrektorów. Gdy w jednym z nich stwierdzono, że jest gorzej, zwolnił dyrektora z uzasadnieniem, że widocznie zajmował się bezpośrednim zarządzaniem fabryką, co powinni załatwiać jego zastępcy i niżsi szczeblem szefowie. Bo jego obowiązkiem powinna być praca koncepcyjna nad perspektywicznym rozwojem przedsiębiorstwa.

Ale wróćmy zza kulis do problematyki zasadniczej. Szczególnie przypadł mi do gustu referat pt. „System kształtowania kadr w przedsiębiorstwie przemysłowym" mgr. inż. Andrzeja Kłopotowskie-

Coś się rusza na Roztoczu

Dokończenie ze str. 1

wania Roztocza ruszyła nareszcie z miejsca, na Roztocze popatrują całkiem konkretnie odpowiednie władze i instytucje. I to nie tylko instytucje lubelskie. Nieskażoną atmosferą Roztocza zainteresował się Śląsk. Od wczesnej wiosny po wsiach i miasteczkach myszkują wysłannicy hut i kopalń w pogoni za prywatnymi kwaterami, za pięknym krajobrazem. Tak na przykład wieś Obrocz, nad Wieprzem, w pobliżu Zwierzyńca, jest już niemal całkowicie „zasiedlona" przez górników.

Dwa lata temu wybrałem się na Roztocze dla przeprowadzenia reporterskiego zwiadu w sprawie miejsc noclegowych. Opublikowany następnie w „Kamenie" artykuł opatrzyłem jednoznacznym tytułem: „Na Roztocze jedź z namiotem!". W ubiegłym roku redakcyjny kolega, Romuald Wiśniewski, podejmując podobny temat doszedł do wniosku, że rzucone przeze mnie hasło wcale nie straciło na aktualności. Niestety, w bieżącym roku sytuacja przedstawia się niemal identycznie. Wprawdzie przybyło kilkadziesiąt miejsc noclegowych w stacjach turystycznych w Zwierzyńcu, wprawdzie PTTK zakłada tego lata wzdłuż szlaków Roztocza dziewięć baz namiotowych, ale nadal jest to kropla w morzu potrzeb. I wciąż kierować się można zaleceniami broszurki: „Szlak walk partyzanckich", wydanej przez WKKFiT w Lublinie w 1965 r., *że w każdej osadzie liczyć można, za minimalną opłatą, na prymitywne noclegi w izbach lub stodołach (na sianie lub słomie) u gościnnej ludności miejscowej.*

Nadal Roztocze jest słabo rozreklamowane. Wspomniana powyżej broszurka nie została wznowiona od 1965 r., a ze względu na stosunkowo niski nakład (20 tys. egz.) jest od dawna niedostępna w księgarniach. Przewodnik „Roztocze Lubelskie" Marii Bońkowiczowej można znaleźć tylko w bibliotekach, zaś żadne wydawnictwo nie myśli o wznowieniu go w uaktualnionej wersji. Opracowana przez Zamojski Oddział PTTK broszurka omawiająca tzw. Szlak Zielony nadal, jak przed dwoma laty, spoczywa w czeluściach redakcyjnych biurek WAG w Krakowie. Jak dotąd, wydano tylko jeden folder (o Krasnobrodzie), ani jednej tzw. „składanki" dotyczącej Roztocza. Doskonale pomyślane składanki z serii „Udana niedziela", opracowywane przez Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej w Lublinie, ograniczają się do lasów Kozłowieckich, lasów Jawidzkich i okolic Łęcznej. Wydrukowana w 1968 r. przez Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych mapa „Roztocze Środkowe" jest prawie nie do kupienia w księgarniach, a zresztą załączony do niej „Informator Turystyczny" zupełnie stracił na aktualności.

Sytuację ratowałaby w pewnym stopniu obszerna publikacja Krystyna Izdebskiego i Tadeusza Grądziela — „Roztocze", wydana w 1971 r. przez Wiedzę Powszechną w serii „Przyroda Polska" (190 stron, 10 tys. egz.), opatrzona mapkami i licznymi zdjęciami, ale to raczej popularnonaukowe opracowanie fauny i flory Roztocza niż przewodnik turystyczny. Tekst jest ciężki, naszpikowany terminami fachowymi i przez to trudno przyswajalny dla przeciętnego czytelnika.

Trochę lepiej przedstawia się sprawa samej stolicy Roztocza i jednej z „pereł polskiego Renesansu" — Zamościa, ale publikacje na temat tego miasta są już w księgarniach na wyczerpaniu. W dobrze skądinąd zaopatrzonym stoisku Centrum Informacji Turystycznej w Zamościu można kupić „składankę": „Zamość — perła miast Odrodzenia" zawierającą plan miasta, kilka zdjęć i kilka akapitów komentarza, niewielką broszurkę — „Rotunda zamojska" oraz potężne dzieło — „Zamość i Zamojszczyzna w dziejach i kulturze polskiej", pracę zbiorową pod redakcją Kazimierza Myślińskiego, zawierającą materiały z sesji naukowej, wydaną staraniem Zamojskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wyboru dopełnia dwustronicowy folder z planem Zamościa, w czterech językach.

A jednak coś się zaczyna dziać na Roztoczu... Już spacerując po samym Zamościu napotykamy na widome tego przykłady: w maju ubiegłego roku, w pięknie wyremontowanym budynku dawnych stajni pocztowych przy ul. Łukasińskiego, otwarto Centrum Informacji Turystycznej, placówkę podlegającą Wojewódzkiemu Ośrodkowi Informacji Turystycznej w Lublinie. Centrum, czynne przez trzynaście godzin dziennie, udziela informacji na temat ruchu turystycznego krajowego i zagranicznego, informuje o wycieczkach, przedstawieniach teatralnych w całym kraju, o noclegach i gastronomii, o zasadach wyrabiania paszportów i przydziale dewiz. W sklepiku można zaopatrzyć się w mapy i przewodniki po krajach europejskich, a w pięknej sali obejrzeć stale zmieniane ekspozycje fotograficzne, zaś w każdy piątek przyjść na spotkanie z dziennikarzami, podróżnikami lub po prostu... mieszkańcami Zamościa, którzy wrócili z zagranicznego urlopu i przywieźli stamtąd interesujące zdjęcia i interesujące obserwacje. Trzyosobowy zespół pracowników pod kierownictwem p. Jerzego Cieplińskiego, człowieka od lat związanego z zamojskim PTTK, zasługuje tylko na słowa pochwały. Energiczni, kulturalni, doskonale prezentujący się w gustownych uniformach, znający języki obce, śmiało mogliby stanąć za kontuarem znanych europejskich biur turystycznych.

Zamojskie CIT jest jedną z trzech placówek zorganizowanych na Lubelszczyźnie według pomysłu Janusza Żarka z WOIT w Lublinie. Stanowią one, jak dotąd, ewenement w skali krajowej. Dwa pozostałe: CIT w hotelu „Victoria" w Lublinie i w hotelu „Izabella" w Puławach nie odbiegają poziomem od placówki zamojskiej.

Przy ulicy Lenina otwarto niedawno elegancki lokal „Gromady" — dotąd mieściła się ona w obskurnych pokoikach starej rudery na peryferiach miasta. Kilka domów dalej widnieją witryny „Orbisu", wznawiającego właśnie działalność w Zamościu po kilkunastu latach przerwy. I tutaj, jak w CIT, uderza doskonała organizacja, uprzejmość oraz fachowość personelu. No i szybkość informacji: „Gromada" posiada już telex, CIT i „Orbis" otrzymają go w najbliższym czasie.

Zamościanie spędzają od lat niedziele w Zwierzyńcu. I właśnie Zwierzyniec został przez powiatowe władze zamojskie wytypowany na jedno z centrów wypoczynku sobotnio-niedzielnego na Roztoczu. W przyszłym roku stanie tutaj wielka restauracja turystyczna, zostaną nareszcie wybudowane campingi z prawdziwego zdarzenia (przeznaczona dla zagranicznych turystów mapa polskich campingów, na wszelki wypadek nie wymienia „campingów" dotąd istniejących na Roztoczu), boiska, place gier i zabaw. Baza noclegowa nie ulegnie wyraźnemu powiększeniu. Nie otrzymają też w Zwierzyńcu lokalizacji na domy wczasowe ubiegające się o to instytucje: ze względu na konkretyzujący się coraz bardziej projekt przekształcenia okolicy w Park Narodowy.

Tutaj — punkt wyjścia do poparcia stwierdzenia, że coś się zaczyna dziać na Roztoczu, coś, co napawa optymizmem.

Sprawa Zwierzyńca mieści się w szeroko potraktowanym Planie Zagospodarowania Roztocza, z którego projektem wystąpiło w ubiegłym roku Prezydium PRN w Zamościu. Nad jego opracowaniem trudzi się aktualnie Wojewódzka Pracownia Planów Regionalnych w Lublinie. Analizowana jest sprawa potrzeb lokalowych, aprowizacyjnych i komunikacyjnych na tym terenie, w powiązaniu z planami i możliwościami finansowymi trzech powiatów, przez które przebiega Roztocze Lubelskie: zamojskiego, biłgorajskiego i tomaszowskiego. Na czerwiec br. przewidywana jest konferencja w Zamościu, która zapoczątkuje trójporozumienie gospodarzy tego regionu.

Nie ma się co łudzić, że w najbliższych latach na trasach Roztocza powstanie sieć schronisk i domów wycieczkowych. Na to ani PTTK ani POSTiW-y nie mają pieniędzy. Problematyczna też wydaje się perspektywa rozbudowania liczby kwater prywatnych — region do najbogatszych nie należy, kwaterom więc daleko do jako takiego komfortu, a my już przyzwyczailiśmy się do wygód. Dla wielu zakładów pracy budowa własnych domów wypoczynkowych wypada za drogo, a te, które mają odpowiednie środki, często wolą lokować się nad morzem lub w górach. Dlatego trzeba szukać wyjść pośrednich. Bacząc przy tym, aby — jak powiedział jeden z tutejszych działaczy turystycznych — nie zmarnować dwóch największych, jak dotąd, walorów Roztocza: tego, że jest ono piękne i tego, że nie zdążyło jeszcze zostać zeszpecone budowanymi bez ładu i planu domami wczasowymi...

Pan Kozyra z zamojskiego PKKFiT ożywia się wyraźnie, kiedy rozmowa schodzi na temat Krasnobrodu. Z zapałem podejmuje rozmowę o Krasnobrodzie przewodniczący WKKFiT w Lublinie, mgr Mieczysław Niewiadomski. Słowo: Krasnobród, wypowiedziane przeze mnie w lubelskim Miastoprojekcie,

go. Już jedno ze wstępnych stwierdzeń, że przedsiębiorstwo — nie tylko przemysłowe przecież — tworzy „dynamiczną kombinację zasobów ludzkich, fizycznych i finansowych" jest godne podkreślenia chociażby dlatego, że w sposób odmienny od dawnych definicji na pierwszym miejscu stawia właśnie „zasoby ludzkie". I że celem przedsiębiorstwa jest zaspokojenie określonego wycinka potrzeb „społeczno-gospodarczych", a nie tylko gospodarczych.

W dalszym ciągu autor wskazuje na szereg utrwalonych w naszym systemie gospodarowania i zarządzania zasad, z którymi dziś zgodzić się nie można. Występuje więc m. in. przeciw automatycznemu, bezkrytycznemu powiększaniu udziału kadr z wyższym wykształceniem dla wykazania się odpowiednim wskaźnikiem, czego wymagają nawet sprawozdania GUS-u — bez uwzględnienia rzeczywistych potrzeb w podstawowych zespołach roboczych. Prowadzi to prostą drogą do marnotrawstwa potencjału kadrowego i do takiej np. sytuacji, że mamy proporcjonalnie więcej inżynierów niż NRF, ale są oni znacznie gorzej wykorzystywani.

Od lat istnieje u nas podział wewnętrzny kadry na pracowników inżynieryjno - technicznych, ekonomicznych i administracyjnych. Stale utrzymuje się tendencja ograniczania ilościowego, a w każdym razie proporcjonalnego pracowników administracyjnych, rzekomo w imię walki z biurokracją. Jest w tym tylko część prawdy. Do tej grupy zalicza się bowiem także pracowników pomocniczych — i w rezultacie inżynierowie lub ekonomiści muszą sami wykonywać kreślenia, różne proste obliczenia, czasem nawet pisać na maszynie, a bywa, że i pełnić rolę gońca. Jakże jaskrawy przykład marnotrawstwa kadrowego! Dodać wypada, że w ogólnym pojęciu pracowników inżynieryjno - technicznych mieszczą się zarówno konstruktorzy jak i technolodzy. Tymczasem dzisiaj o postępie decyduje coraz częściej nie konstrukcja, ale właśnie technologia. A badania wykazały, że w naszych przedsiębiorstwach przemysłowych liczba technologów w porównaniu z konstruktorami jest przynajmniej trzykrotnie niższa niż być powinna.

Ogólnym zaś wnioskiem z sesji lubelskiej jest ten, aby wszystkie komórki, zajmujące się sprawami pracowników, zgrupować w jednym pionie. Taka integracja nastąpiła już w wielu dużych przedsiębiorstwach przemysłu maszynowego i wyniki ogólnie ocenia się jako zdecydowanie pozytywne. W województwie lubelskim bodaj tylko w świdnickiej WSK mianowano pełnomocnika dyrektora do spraw socjalno-bytowych, co należy potraktować dopiero jako wstęp do prawdziwej reorganizacji schematów w dziedzinie zarządzania i kształtowania kadr.

Jerzy Dostatni

PEDAGOGIA W BIAŁYM KASKU

Zygfryd Mikułko

PRZYZNAM się, że zdarzył mi się wypadek dość osobliwy, ponieważ otrzymawszy zadanie nawiązania dziennikarskiego kontaktu z człowiekiem, nawiązałem kontakt z problemem. Może powinienem czynić sobie wyrzuty z powodu rozminięcia się z celem, ale przypuszczam, że zysk w postaci refleksji również się liczy, a właśnie protokół z faktów, jakże często zastępujący spojrzenie na sprawę, bywa wykrętem.

Nowy, rozwojowy przemysł. Istnieją opinie mówiące o tym, że jest to nie tylko środek uzyskania możliwie największej ilości wyrobów, ale teren zjawisk z zakresu socjologii, psychologii, estetyki. Że wartość pracownika liczy się również rodzajem ludzkich treści, jakie wnosi w swe środowisko, ponieważ rzutuje to na kwestię tworzenia nowych więzi społecznych, a nie pozbawione jest w konsekwencji i wymiernych efektów rzeczowych. Przyjdzie posłużyć się paradoksem: nieprodukcyjne zjawiska w wielkim i nowoczesnym zakładzie przemysłowym mają swój walor produkcyjny.

A więc nowoczesny zakład to nie wyłącznie miejsce, gdzie się spawa, skrawa, przykręca mutry i nic ponadto nie jest godne uwagi, ale płaszczyzna współżycia znacznego grona ludzi, gdzie już teraz ważne jest wszystko, co się tam dzieje, nie tylko przez „produkt finalny". Człowiek w produkcji, a nie człowiek po produkcji. Organizacja czasu, a nie oczekiwanie na fajrant. Jeśli się wolno cokolwiek futurologicznie wychylić, byłbym skłonny przypuszczać, że produkcyjny zakład to instytucja niezbędna w życiu pojedynczego człowieka, że metalurgia, budownictwo, przetwórstwo to kiedyś będą hobby.

Wiem, że cokolwiek utopijnie rysuje się moja futurologia, ale tylko cokolwiek. Weźmy pod uwagę, że już dziś załoga staje się czymś więcej niż zespołem ludzi, któremu powierzono pewne określone zadania w metalu, marglu czy drewnie: jest częścią społeczeństwa. Częścią społeczeństwa będącą tym właśnie nie po przekroczeniu bramy w kierunku wyjścia, ale już w momencie wykonywania czynności produkcyjnych. Estetyka miejsca pracy, dbałość o rekreację, towarzyszenia pewnych form działalności kulturalno-oświatowej — to wszystko jest wyrazem dbałości o to, by fabryka była „miastem", a członek załogi jego mieszkańcem również w ciągu tej trzeciej części doby, która jest przeznaczona na pracę.

No dobrze, ale co bym widział jako „wzorowy" model dzisiejszego pracownika? Nie chodzi mi o tzw. ideał, to znaczy docelowy, mobilizujący przykład. Chodzi mi o tzw. średnią statystyczną. Więc różnie było z tymi modelami. Najpierw był przodownik, który najczęściej w drodze prywatnej pomysłowości — bo organizacja przemysłu dopiero się zaczynała — montował produkcyjną aparaturę przeważnie dobywając jej szczątki z gruzów i popielisk wojennych. Następnie — heros wydajności pracy ambicjonowany przede wszystkim w kierunku podnoszenia wykresu produkcji. Później — pracownik fizyczny na wieczorowych kursach zdobywający wykształcenie i wyższe kwalifikacje zawodowe. Dzisiaj proces tego trzeciego etapu zaczyna ukazywać swoje owoce i profil obecnej społeczności pracowniczej rysuje średnio, a także wyżej kwalifikowany operator specjalistycznego warsztatu, dzięki ulepszonej organizacji pracy, dzięki lepszej znajomości maszyn posiadający większą możliwość kontaktu z pozaprodukcyjną sferą zagadnień.

No, nie aż na tyle, by technicznie wykształcony obywatel PRL miał być po trosze krytykiem filmowym, znawcą malarstwa, bywalcem każdej premiery w teatrze i abonentem o dziesięciu na miesiąc ilości wypożyczeń w dzielnicowej bibliotece. Jest chyba błędem w sporze technika — humanizm, kiedy się wymaga od inżyniera wymienienia ostatniej pozycji Dürenmatta, jeśli się samemu zapomniało, co to jest logarytm. Ale w każdym razie ów dzisiejszy „wzorzec" pracownika przemysłu nabiera cech kontaktujących go z całokształtem spraw kultury, wyprowadzających go z zaklętego kręgu wąskiej specjalności.

Zmienił się również sposób patrzenia na stopień dokonań. Dzisiejszy przemysł mniej sobie ceni solistów wybijających się na czoło zespołu i zdobywających indywidualne pierwszeństwo na etapach produkcji, więcej natomiast tych średnich, czy nie eksponujących swego nazwiska, natomiast szerzej wpływających na mobilizację całego zespołu. Idących w środku fali i utrzymujących jej napięcie. To drugie ma z pewnością jakieś podobieństwo z przeciętnością, ale z tą przeciętnością, która jest wyrazem wysokiej „średniej", ważniejszej niż jednorazowo wystrzelony szczyt. Dziś „systematyczny" wyżej się liczy, niż „posiadający dobry finisz".

I kiedy rozmawiałem z Romanem Barszczem, mistrzem z kuźni FSC — a właśnie ta rozmowa nasunęła mi powyższe refleksje — musiałem w myśli zapisać sobie wyrazy: „przydatny pracownik przemysłu". Ta formuła otwiera mi furtkę do dalszych rozważań, których wiem, że nie należy prowadzić w tonacji oczekiwania na rewelacyjność, na plakatową sugestywność dzisiejszego fachowca. I jeszcze jedno: ta umiejętność obcowania z ludźmi mierzy się przede wszystkim sposobem podejścia do młodzieży, bo ona przede wszystkim tworzy nowe społeczeństwo w fabryce, ona jest najwdzięczniejszym terenem działania wychowawczego, ona dojdzie do decydującego głosu za kilka niedługich lat. Przez to, że następuje postęp techniczny przenoszący procesy technologiczne na inne sposoby wytwarzania i przez to, że młodzież jest najbardziej inwestowaną, bo najbardziej obiecującą częścią dzisiejszej załogi.

Fot. CAF (J. Mirosław)

Roman Barszcz otrzymał pierwsze miejsce wśród majstrów kuźni za umiejętność pracy z młodymi. Sami to uznali w swoim głosowaniu.

— Wiem, że najtrudniej w takich okolicznościach mówić o sobie samym, bo zawsze istnieje obawa, że słuchacz przyjmie to za samochwalstwo. Ręczę, że nie w ten sposób przyjmę pańskie słowa, zresztą werdykt młodej załogi mówi sam za siebie, ale pytam, bo chciałbym usłyszeć, jakimi metodami udało się to panu osiągnąć? Nie chciałbym, by to pytanie zabrzmiało zdawkowo. Wiemy, że młodzież na ogół jest dość niesforna, że są tacy, co chętnie dryfują po tak zwanym „marginesie społecznym" i że nigdzie ich nie brak. Czy do wszystkich udaje się panu jednakowo trafiać?

— Nie mam żadnej metody. I właśnie może przyczyną moich — jeśli już tak nazywamy — wychowawczych osiągnięć jest to, że nie wychowuję. Po prostu jestem z nimi, przestrzegam, by wszystko szło prawidłowym trybem, a ponieważ równocześnie nie staram się korzystać z dystansu, jaki nas dzieli, bo taki argument czysto administracyjny wychowawczo na nic się nie przyda, znajduję z nimi, a oni ze mną wspólny język. Tym bardziej jest to możliwe, że młodzież przy swym temperamencie nie jest przecież bezkrytyczna i często mimo pozorów opozycji posiada uznanie dla racji. Jest jeszcze ważna rzecz: młodych nie można traktować „jak młodych", to znaczy z góry. W mig wyczują fałsz takiej postawy i wtedy dopiero wywiązują się sytuacje konfliktowe. W moim zespole jest paru chłopców — nazwijmy tak — z lekka hippisujących w stroju, ale nie mogę powiedzieć, by wpływało to na ich udział w pracy, czy miało skutek na terenie całego zespołu. Raczej się wszyscy rozumiemy przede wszystkim dlatego, że nie zdarzyły się dotąd poważniejsze powody do nieporozumienia i za taką przyszłość należy chyba potrzymać kciuki.

Roman Barszcz właściwie nie za chętnie mówi o sobie. Trzeba go trochę zachęcać do wynurzeń i wytwarza się sytuacja, jakby rozmówca chciał od niego wymóc jakąś tajemnicę. A właśnie on sam uważa, że tajemnicy nie ma do tego stopnia, iż nie potrzebne są słowa. On mówi swoim dziełem, swoją systematycznością, swoimi piętnastoma latami pracy, w ciągu których — oblicza — otrzymał tylko cztery zwolnienia chorobowe. Że został wyróżniony z okazji 1 Maja? „Każdy to potrafi, potrzeba tylko normalnie wykonywać to, do czego się jest zobowiązanym".

„Każdy", „normalnie", „tylko". Mimo tej arcyskromnej szaty zewnętrznej wydało mi się to bardzo nowoczesne, bardzo dzisiejsze postawienie sprawy udziału jednostki w pracy przemysłowej. Zwykła sprawa. Nie bardzo wiem, o co tu miałby zaczepić kamerę lubiący smaczki reżyser dokumentalnego filmu, ale ta „zwykła sprawa", mająca wszelkie szanse wypaść na filmie blado i pospolicie, w rzeczywistości posiada walor mocnej kreski w obrazie naszej działalności, naszej społeczności, naszej przyszłości produkcyjnej.

Fabrykę Samochodów Ciężarowych opuściłem w niepewności, czy nie byłem tam zwykłym intruzem. Tam, na miejscu, są to rzeczy oczywiste. Uspokoiły mnie trochę dopiero te drzewa. Cóż, zieleń to kolor nadziei.

---

wywołuje niemal dwugodzinną dyskusję. Bowiem projekt przekształcenia tej niewielkiej osady miejskiej, położonej nad Wieprzem, na szlaku wiodącym ze Zwierzyńca do Tomaszowa Lubelskiego — w wielkie centrum wypoczynkowo-turystyczne Roztocza, stanowi jeden z ważniejszych punktów w planach zagospodarowania regionu.

Już kilka lat temu w Prezydium PRN w Zamościu zaczęto zastanawiać się nad znalezieniem na Roztoczu odpowiedniego miejsca, które łączyłoby w sobie warunki wypoczynkowe i uzdrowiskowe, a jego atrakcyjność nie ograniczałaby się tylko do okresu letniego, ale stanowiła atrakcję dla sportowców, wczasowiczów i turystów również w zimie. Takie miejsce musiało spełniać trzy warunki: być wkomponowane w piękny krajobraz, posiadać wodę i góry. Możliwość całorocznych wycieczek po okolicy, połączona latem z uprawianiem sportów wodnych, a zimą z narciarstwem i saneczkarstwem, mogłaby nakłonić bogate instytucje do lokowania tutaj domów wypoczynkowych. Początkowo myślano o Zwierzyńcu, w końcu wybór padł na Krasnobród. Wysokie wzgórza otaczające osadę nadają się doskonale do uprawiania narciarstwa. Obecność jedenastohektarowego zalewu, zbudowanego w ramach prac melioracyjnych związanych z kanałem Wieprz—Krzna, rozwiązuje problem kąpieliska. W pobliżu znajdują się dwa rezerwaty przyrody — Maziarki, gdzie rośnie obuwik pospolity, jeden z najpiękniejszych storczyków krajowych, oraz rezerwat florystyczny Stoki. Sam Krasnobród, miasteczko znane już w XVII w., graniczy z pięknie położonym Podklasztorem, posiadającym barokowy kościół, ufundowany przez Marysieńkę Sobieską, i z Podzamkiem, gdzie w starym, malowniczym parku zachował się zabytkowy, XVII-wieczny dwór, należący niegdyś do rodziny Leszczyńskich.

Pola na Roztoczu

Fot. Archiwum (PTTK)

W takim właśnie otoczeniu stanie w ciągu najbliższych dziesięciu lat jeden z najciekawszych w Polsce i stanowiący swoiste novum ośrodek wczasowo - wypoczynkowy, mogący w „dniach szczytu" pomieścić jednorazowo trzy tysiące turystów i wczasowiczów. Całość z wyposażeniem będzie kosztowała 250 milionów zł! Rzecz niemożliwa do zrealizowania przez jednego inwestora, ale też o novum ośrodka stanowi, że jego budowa będzie realizowana na zasadzie tzw. „inwestycji wspólnych".

Będzie więc ośrodek w Krasnobrodzie jakby „spółdzielnią" złożoną z licznych udziałowców — instytucji i zakładów pracy, które w miarę własnych potrzeb i możliwości będą „kupowały" nie tylko całe pawilony mieszkalne, ale nawet po kilka pokoi w takich pawilonach. Oczywiście, głównym dysponentem będzie WKKFiT w Lublinie i POSTiW w Zamościu, które biorą na siebie obowiązek koordynowania całości poczynań w okresie organizacyjnym i budowlanym, a następnie — zarządzania ośrodkiem. Doskonale pomyślany architektonicznie projekt inż. arch. Stanisława Bema z Pracowni Nr 2 lubelskiego Miastoprojektu zakłada wybudowanie kompleksu jednopiętrowych pawilonów (niektóre z nich z centralnym ogrzewaniem, a więc czynne przez cały rok), placów gier i zabaw, restauracji i kawiarń, campingów, wreszcie — basenu kąpielowego z podgrzewaną wodą. Ośrodek zajmie 60 hektarów, lustro wody zwiększy się o prawie 9 ha dzięki nawodnieniu wyschniętych stawów — „Podkaplica" i „Olender". Nad jednym ze stawów stanie nowoczesny dom wycieczkowy dostępny dla indywidualnych turystów, a finansowany przez POSTiW. Wnętrza pawilonów mieszkalnych są tak pomyślane, że jedno i dwuosobowe pokoje można z łatwością łączyć w „ciągi mieszkalne", zapewniające wygodne locum nawet sześcioosobowej rodzinie. Będą tu mogły zamieszkać 1 523 osoby.

Budowa ośrodka jest już sprawą najbliższej przyszłości. Aktualnie Wojewódzki Zarząd Inwestycji Miejskich zatwierdza założenia techniczno-ekonomiczne, w grudniu mają się zakończyć prace nad pełną dokumentacją techniczną, a w pierwszym kwartale przyszłego roku ruszą prace budowlane. Do 1975 r. stanie nad zalewem pierwszy pawilon mieszkalny, kotłownia oraz budynek gastronomiczny, lecz już w bieżącym sezonie zamojski POSTiW urządza w Krasnobrodzie ośrodek sportów wodnych.

Tak więc coś się zmienia na lepsze na Roztoczu, ale co z tego wyniknie, przekonamy się za rok. Obracając się w sferze pięknych planów i projektów, gdy jednak wybieramy się w bieżącym sezonie w tamte strony, nie zapomnijmy o pełnym ekwipunku turystycznym. Chyba że preferujemy legowisko z wonnego siana w gościnnej stodole. Może ukołysze nas do snu świadomość, że już w przyszłym roku zaopatrzymy się w księgarniach w nowy informator turystyczny z mapą Roztocza, przygotowywany właśnie do druku przez lubelski WOIT, dający rozległy rys historyczny regionu, ale o wiele skromniejszą informację, gdzie można się przespać.

Mirosław Derecki

Ten „Skiz" - karta bita

Maria Bechczyc-Rudnicka

ZDAJE SIĘ, że częstując nas raz po raz wznowieniami, dyrektorzy teatrów mają w tym myśl. Kształcą nas recenzentów, wychowują nas, dopełniają naszej filozoficznej kultury, demonstrując nam zmiany perspektyw, reakcję czasu. Bardzo pouczające jest oglądać co kilka lat te same sztuki, opukiwać niejako niby stary budynek, aby się przekonać, co w nim się jeszcze trzyma, a co już się kruszy.

To z Boya. Tak pisał w r. 1937, przy okazji wystawienia „Papy" Caillaveta i Flersa w warszawskim Teatrze Polskim. Wkrótce po tym miał sposobność „opukiwać" z kolei „Skiza", którego zaprezentował Warszawie Teatr Nowy, z Ćwiklińską w roli Lulu. A przyszedł do wniosku, iż ta sztuka Zapolskiej, dość przez krytykę zlekceważona, gdy się zjawiła na scenie warszawskich „Rozmaitości" w 1908 r., i nigdy odtąd prawie nie wznawiana, nabrała po 30 latach „swoistego stylu" i wdzięku, kwalifikując się niemal do klasyki.

Jestem gorącą wielbicielką Tadeusza Boya-Żeleńskiego, wierzę niezłomnie w celność jego sądów, tak korzystnie różniących się od wielu dzisiejszych ocen, nasiąkniętych potem niedawnych prac magisterskich i doktoranckich. Pozwolę sobie tedy na przyjemność jeszcze jednej cytacji ze zbioru „Murzyn zrobił...", gdzie znajduje się godne wiary umotywowanie fiaska „Skiza" na prapremierze r. 1908. Mówi mianowicie Boy, iż sztuka, *napisana w roku 1907, była poniekąd spóźniona. Poczęta z salonowo-rezonerskiej komedii francuskiej, zjawiła się w momencie reakcji przeciw tej komedii; w chwili gdy panowały już na scenie inne style, samobójcze nastroje Przybyszewskiego (...), ten „Skiz" wydawał się nieco mdły, niemodny.* Trochę dalej mamy też wyjaśnienie, dlaczego wielki krytyk potraktował „Skiza" w swej recenzji z 1937 r. — nader łagodnie, ba, przychylnie: *My dziś odczuwamy to wszystko, oczywiście inaczej; uprzedzenia i mody sprzed lat trzydziestu nie obowiązują nas, przemawia do nas bezpośrednio talent, świetne poczucie sceny, celność słowa, znawstwo człowieka. I uderza nas to, co wówczas było przesłonione innymi elementami: szlacheckość tej komedii. Doprawdy, ta szlacheckość w Polsce ma diablo twarde życie...*

Gabriela Zapolska — „Skiz". Elżbieta Święcicka (Lulu) i Maciej Polaski (Tolo).
Fot. CAF (Z. Jaśkiewicz)

Zaiste działanie czasu jest „kapryśne, nieobliczalne".

Bo oto pozwolę sobie przypomnieć lubelskim teatromanom-weteranom, że ową „szlachecką komedią" inaugurował dnia 20 marca 1945 r. pierwszy sezon swego dyrektorowania w Teatrze Miejskim w Lublinie (obecnie Teatrze im. J. Osterwy) — Antoni Różycki, tkwiąc siłą inercji w kręgu repertuaru międzywojennego. Odtwarzał też, ma się rozumieć, postać Tola, dla której on, bożyszcze kobiet, był wręcz stworzony. Zwykłe działanie arytmetyczne wykazuje, iż miało to miejsce 28 lat temu, czyli wolno również, a może nawet godzi się, dzisiejszemu recenzentowi podjąć ze swej strony „opukiwanie" oferowanego ostatnio przez scenę im. Osterwy leciwego „pałacyku" dramatycznego. Rezultatem wzmiankowanej czynności powinno być ustalenie, czy czas obszedł się dobrotliwie ze „Skizem" po życzliwie przyjętej lubelskiej prapremierze powojennej roku 1945.

Osobiście myślę, że raczej nie.

Albowiem co zaszło w polskim życiu teatralnym w latach 1945—1973? Po pierwsze zasiadł na widowni nowy „spektator", po drugie — przetoczyła się przez scenę wysoka fala podążająca do tamtych nieprzyjaznych „Skizowi" upodobań z początku stulecia.

Zastanawiano się nieraz, dlaczego Zapolska napisała tę kruchą wątlutką, na mój gust — anemiczną, sztuczkę, nietypową dla swej pełnokrwistej twórczości. Nasuwa się mi tu analogia z Zolą, który zapytany razu pewnego przez nieletnią siostrzeniczkę, dlaczego mama nie pozwala jej czytać jego utworów, zabrał się zbożnie do dzieła i stworzył niedużą (na szczęście!) powieść, gdzie, wierny swemu zamiłowaniu w szczegółach naturalistycznych, opisał katedrę — bodaj Notre-Dame — nie darując czytelnikowi ani jednej z tysięcy odmian jej ornamentów i ornamencików. Wyszła z tego rzecz śmiertelnie nudna, którą tylko człek wyjątkowo uparty mógł doczytać do końca.

Podobno Zapolska też chciała komuś dowieść, że potrafi napisać komedię o nastrojach „poetyckich" z moralnym happy endem. Program Teatru Osterwy cytuje fragment artykułu Grzymały-Siedleckiego („Kurier Warszawski" z 1937 r.), który widzi w genezie „Skiza" chęć wzniesienia się ponad naturalizm, błyśnięcia „intelektualizmem, retoryką, wykwintem".

Jak to się nieraz zdarza wybitnym twórcom różnego autoramentu, Zapolska broniła z rozpaczliwą pasją swego najwątlejszego dziecka. Cóż, kiedy sprawa owego „intelektualizmu" w „Skizie" przedstawia się raczej nietęgo. Dialogi są tu właśnie naturalistyczne w sensie ich „życiowej", potocznej kolokwialności. Obecnie pisarze współcześni przyzwyczaili nas do zgoła wymyślniejszej wymiany kwestii między osobami.

Albo i ten morał! Proszę posłuchać Lulu:

Mężczyznę wiąże nie namiętność, nie zmysły, ani nawet sentyment, tylko coś bardzo subtelnego, a wiążącego jak stal. To jest, Muszko, moc przyzwyczajenia.

Przypadek sprawił, iż właśnie w tych dniach wyczytałam w powieści Sommerseta Maughama „Teatr" coś podobnego: *Mężczyźni lubią swoje przyzwyczajenia; to właśnie daje kobietom władzę nad nimi.* Pięknie. Sommerset Maugham jest pisarzem o wiele bardziej finezyjnym niż nasza wysoce utalentowana Zapolska, można by więc potraktować jej „rewelację" z pewnym respektem, tylko że autor „Teatru" wkłada ów „aforyzm" między innymi w usta rozgoryczonej aktorki, nie czyniąc z niego tezy całego utworu. I śmiem wątpić, by znalazło się dzisiaj sporo starszych panów, których „moc przyzwyczajenia" powstrzymałaby od porzucenia podstarzałej żony dla ponętnej młodej sekretarki.

Czy to znaczy, że nie warto dziś grać tego zwietrzałego ideowo „Skiza"? Czemuż by nie? Rzekł Boy (z jaką racją!): *...szlacheckość w Polsce ma diablo twarde życie.* Na dziś można by sparafrazować to spostrzeżenie plus minus tak: „Platoniczne zafascynowanie szlacheckością nie wygasa wśród snobów polskich na różnych szczeblach drabiny socjalnej". Tedy skoro „Skiz" jest „szlachecką komedią", dlaczegoż by nie miał podobać się widzowi anno 1973 na zasadzie wdzięcznego, staroświeckiego bibelocika? Zgoda, ale... ale na tej samej zasadzie musi być potraktowany na scenie i przez całe zaplecze sceniczne. Innymi słowy, wymaga ten „Skiz" strasznie delikatnego dotyku. Nie na darmo pisała Zapolska w jednym z listów, chwaląc przedstawienie lwowskie: *„Skiz" to (...) bardzo trudna sztuka (...) Tu grali dystyngowanie, elegancko. Zrobili z tego cacko prawdziwe — tacy byli wykwintni i dyskretni w swym komizmie.*

Niestety, bardzo mi przykro, lecz muszę się zdobyć na szczere słowa smutnej prawdy: wystawienie „Skiza" w takich warunkach, w jakich się ono realizowało na scenie im. J. Osterwy, było, eufemistycznie mówiąc, niesłychanie ryzykowne. „Skiz" siłą swej faktury dramaturgicznej jest Koncertem en X-majeur na kwartet wybitnych aktorów i wszelkie konsultacje, nawet najbardziej autorytatywne, w oderwaniu od tego warunku, tracą tu magiczną siłę. Mam poważne wątpliwości, czy należało wystawiać „Skiza" jedynie z tej racji, że jest małoobsadowy i że kiedyś zagra w nim Tola znakomity Andrzej Łapicki tyle razy, na ile pozwoli mu jego ogromna wziętość w Polsce.

Ktokolwiek współżyje z teatrem trochę bliżej niż przeciętny widz, wie doskonale, że w aktualnym zespole Teatru Osterwy, ugrupowanym z myślą o sukcesie odpowiedzialnej premiery sztuki Różewicza „Stara kobieta wysiaduje", nie ma w danym momencie właściwej obsady dla „Skiza". I oto rezultat: jedynie Elżbieta Święcicka, aktorka o pięknej aparycji i solidnym warsztacie zawodowym, przezwyciężyła opory skomplikowanej postaci. Lulu zachowuje się istotnie jak leciutko tknięta dekadentyzmem dama z salonu „szlacheckiego". Natomiast Urszula Rydzewska, dla której intonacja, a zwłaszcza gest, stanowi jeszcze nie lada problem, padła w roli Muszki ofiarą zadania przewyższającego jej możliwości. Z kolei Waldemar Starczyński, zaprezentowany Lublinowi w „Matce" Gorkiego udatnie jako chłop Jefim, tym razem przemieniał Witusia, bądź co bądź ziemianina, już to w dziwnie aroganckiego fornala, już to w poskromiciela drapieżników, wywijającego bez przerwy szpicrutą.

Najbardziej zabolała mnie krzywda wyrządzona Maciejowi Polaskiemu obsadzeniem go w roli Tola, którą on to przecie będzie musiał grać w przeważającej liczbie spektakli dla Lublina i we wszystkich dla terenu. Byliśmy świadkami niejednego powodzenia Polaskiego na lubelskiej scenie, ostatnio w roli Albrechta, wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego. Lecz Tolo, ten rasowy amant u schyłku kariery uwodziciela, wymaga całkiem innych dyspozycji aktorskich. Mam jeszcze w żywej pamięci Antoniego Różyckiego. Jego Tolo bodaj w najkomiczniejszych sytuacjach nie zatracał postawy rozpieszczonego, leniwego sybaryty, czarującego viveura, chronionego od śmieszności nonszalancką ironią tudzież autoironią i estetyką pozy.

Współczuję też niekłamanie młodemu, utalentowanemu reżyserowi, Józefowi Jasielskiemu, którego prawdziwe powołanie predestynuje wyraźnie do pracy nad dramaturgią nowoczesną bądź nad obrazoburczymi inscenizacjami klasyki. Sztuki Gabrieli Zapolskiej „ulepsza się" dzisiaj różnymi sposobami. Przeważnie dodając trochę muzyczki i ewolucji tanecznych. Na lubelskiej scenie dramatycznej postanowiono „unowocześnić" „Skiza" ostrą dewiacją w kierunku farsy. Chwyt ten jest obecnie lansowany jako najnowsza nowość. Lecz to, co się udało moskiewskiemu Teatrowi im. W. Majakowskiego z „Dziećmi Waniuszyna", czy Krasowskiemu w Krakowie z „Rewizorem", nie wyszło na dobre „Skizowi". „Uparta baba!" — pozwalam sobie powtórzyć okrzyk podziwu, jaki przypuszczalnie wyszedłby przy tej okazji z ust Boya.

I scenografia niezawodnej zazwyczaj Jadwigi Pożakowskiej została tym razem zaprojektowana niby na marginesie czegoś ważniejszego. Co prawda zielone kwieciste draperie w tle są ładnym i pomysłowym upostaciowaniem symbolicznym sielskiego entourage'u dworka Muszki i Witusia, ale ten biały salon „szlachecki" — cóż za mizeria! Ręczę, że *wieki „Ludwików"* nie *unoszą się tu w powietrzu.* Raczej — memento objazdów terenowych, za co może należy kogoś pochwalić?

Doprawdy dzisiejsze życie teatralne jest pełne paradoksów.

Tak czy inaczej, lepiej nie grać w takiego taroka, w którym, wbrew regułom gry staroświeckiej, „Skiz" okazuje się kartą bitą.

Zza Cukrowni raport sentymentalny

Maria Brzezińska

TERAZ jest wieczór i deszcz uwięziony w rynnie szamocze się hałaśliwie. Poza tym cisza. Rzadko słychać przejeżdżający samochód. Jest pora filmu telewizyjnego i układania się do snu. Tutaj wcześnie chodzi się spać. Bez względu na pogodę. Co rano o piątej odjeżdża z końcowego przepełniona „jedynka".

Nie mam telewizora i nie zasypiam zbyt wcześnie. Dlatego mogę teraz siedzieć nad kartką papieru i przypominać to, co jest częścią mojego życia, co mnie stwarzało, a także, przeciw czemu wyrosłam. Odchodzę stąd i przyszła pora pożegnania.

— „Zabierz chociaż stół"... — babci naprawdę okropnie na tym zależało. — Nie wezmę, nie będzie mi potrzebny, zresztą nie zmieści się w moim nowym mieszkaniu. „Toaletkę to postawisz w przedpokoju" — babcia mi nie wierzy. Nie postawię. „Jak to, i szafę też zostawisz?" — Już babci mówiłam, że zabieram tylko książki. Babcia wzdycha. No, bo jakże? Tyle się natrudziła w życiu, żeby swoim dzieciom dać chociaż po garnku, po stołku na ich nowe mieszkanie, a ja mogę wziąć z rodzinnych mebli wszystko, cały majątek i nie chcę nic. Babcia pewnie długo będzie rozważać ile muszę zarabiać, a może, jestem pewna, że tak właśnie pomyśli, trafia jej się wyjść bogato za mąż, tylko ja nic o tym nie wiem, bo czy to wnuczki teraz coś powiedzą?

Będzie tak myśleć cały dzień w swoim małym drewnianym domku, który wybudowali z dziadkiem na miejsce tego spalonego w czasie wojny. Bomba trafiła w sąsiedni, spłonęła cała uliczka. Tą uliczką można było zejść nad rzekę. A czasami, pamiętam dobrze, rzeka przychodziła do babci i do jej sąsiadów. Wszyscy biegli wtedy na pomoc, przyjeżdżało wojsko i jeździło amfibiami, gapiła się cała dzielnica, a niektóre moje koleżanki *nie* chodziły wtedy do szkoły, mówiło się: „Nieobecna, bo u niej jest powódź".

Powodzie skończyły się jakoś razem z moją szkołą podstawową. A szkoła skończyła się wtedy, kiedy ja ją ukończyłam. Tak, tak, dobrze mówię. Rzekę uregulowali, a stary, ohydny poniemiecki barak, w którym mieściła się „podstawówka" numer 17, zaczęto rozbierać i szybko budować „tysiąclatkę". Jakże zazdrościłam kolegom, którzy uczyli się po mnie! Tutaj nikt nie miał w domu kaloryferów, parkietów, ciepłej wody, a w szkole były! Miałam kompleks nowoczesności w sensie usług cywilizacyjnych. Szkoła średnia też była w starym budynku, chociaż znacznie wygodniejszym. Z „nowym" spotkałam się dopiero po studiach. Właśnie mój rok jako pierwszy wszedł do nowiutkiej „Humanistyki". Już wtedy zrozumiałam, że nadeszły dla mnie lata „w zawieszeniu", że jedną nogą opierać się będę o to, co stare, rodzinne, domowe, a drugą wkroczyłam na ziemię, którą uznałam za piękniejszą od mojej „zacukrowniano-rodzinnej". Wiedziałam, że kiedyś stanę pewnie na tej nowej ziemi.

Wygląda to tak: dzielnica „Za Cukrownią" i LSM znajdują się po dwóch stronach rzeki, dokładnie naprzeciw siebie. Za Cukrownię taksówkarze nie chcą jeździć, na LSM-ie wielu ma swoje mieszkania. Na LSM-ie są tylko młode drzewa i nowi mieszkańcy, Za Cukrownią jest wiele drzew starych i bardzo niewielu nowych lokatorów. LSM jest gwiazdą super-nową, która eksploduje, lśni rzędami okien widocznymi z tej strony rzeki. Cukrownię rzadko widać od strony LSM-u, całe światło zabiera dym z kominów fabryk i parowozowni.

Dzielnica wyrosła na małej przestrzeni między torami a rzeką i tak zgrzybiała. Od końca XIX wieku, a zwłaszcza po pierwszej wojnie, zaczęły rosnąć kamieniczki, domki i domeczki, z komórkami, przybudówkami i gołębnikami. Robotnicze przedmieście. Ludzie mieli blisko do pracy: do cukrowni, na kolej, do „monopolu" spirytusowego, do krochmalni. Nie było ich dużo. Wszyscy się znali. Przedmieście. Starsi znają wszystkich do dziś. Sąsiadka, która ma kopiastą siedemdziesiątkę i zawsze zapomina, gdzie położyła klucze — o każdej porze wyliczy (trzeba czy nie trzeba), ilu wnuków ma „staro Klimkowo", wie, kto choruje, kto umarł, kto się wyprowadza.

Tutaj żyć nie jest łatwo. Dzielnica jest skazana na powolne umieranie i powojenne inwestycje na palcach można policzyć: szkoła, parę mieszkań, ośrodek zdrowia, pawilon handlowy. Na dawnym wysypisku śmieci założono przed laty skwerek, za to dawny, gęsty, stary park przy Cukrowni jest śmietnikiem.

Cywilizacja przychodzi bitymi drogami — nie ma cudów. Główna ulica tej dzielnicy — Krochmalna — przypominała zawsze, a dziś bardziej niż kiedykolwiek, kanał sanitarny. Rozpoczęto jej przebudowę. Najpierw wycięto wszystkie drzewa. Tu, gdzie każdy listek chroni nas przed zatruciem! Za to ulica miała być szeroka i wygodna. W tej chwili jest rozkopana, wyboista, brudna.

Kiedyś zwierzałam się znajomemu, że nie mogę spać. Radził mi spacer przed snem. Nigdy nie był w mojej dzielnicy. Skąd mógł wiedzieć, że tylko w domu oddycha się mniej smrodliwym powietrzem. Spacer koło Cukrowni! Dowcip godny sadysty.

Ludzie potrzebują nowych mieszkań. Bo samodzielność, bo wygody, bo szansa na większą rodzinę. Dla ludzi stąd mieszkanie w nowym budownictwie to nie tylko korzystna zamiana, ale awans społeczny, kariera. Wyższy standard, a zarazem izolacja od środowiska, które ma wiele cech prymitywnych. Tu najchętniej czyta się „Kurier", nie wiem, czy gdzie indziej codziennie ustawia się o czternastej kolejka przed kioskiem. „Kurier" i tak można potem kupić spokojnie. Ale ważne, by w tej kolejce postać. Tak samo jak przed sklepem mięsnym. Od bladego świtu.

Tutaj w spożywczym najczęściej kupuje się mleko, chleb, cukier, pół masła, jajko, albo dwa, „Klubowe", zapałki i wino za dwadzieścia trzy. Tu nikt nie żyje luksusowo. Mało kto — dostatnio. Tu mało jest prywatnych samochodów i mało ludzi z wyższym wykształceniem. Za to pije się dużo. Zła tradycja. Jest w dzielnicy siedem sklepów, w tym jeden specjalistyczny — artykuły monopolu spirytusowego. Jest często odwiedzany. Kiedyś dzielnica „Za Cukrownią" konkurowała w niepopularności ze starą „Kaliną". Chłopaki bili obcych i bili się między sobą. Na zabawę „na dechy" chodziły same „odważniaki". Nie ma już zabaw podmiejskich nad rzeką, zmarniała łąka, rzeka zwęziła się w korytko. Chłopaki zbierali się zawsze „pod figurą". Teraz naprzeciw jest posterunek ORMO. Nie zbierają się.

Na miejsce starej „Kaliny" powstała nowa. Pozostało parę starych domków, ale nie są one nawet wspomnieniem dawnej dzielnicy. Dzielnica „Za Cukrownią" trwa w swoim kształcie szkaradnym i przypadkowym. Tu nie ma dwóch podobnych do siebie domów. Każdy właściciel budował na ile wystarczało placu i środków. Przed niektórymi domeczkami — małe ogródki. Warzywnik i parę kwiatków. Ale nie widać ich prawie przez grube sztachety. Świat deskami zabity? Chyba nie. Ludzie mają telewizory, radia, coś czytają. Czasami chodzą do kina „Kryształ", które z kryształem tyle ma wspólnego, co śnieg z sadzą. Nad tym kinem jest klub kulturalno-oświatowy przy cukrowni „Lublin". Nieźle wyposażony, część młodzieży przychodzi do zespołów. Ale nie bardzo ta kultura od strony cukrowni może promieniować, skoro by wejść do klubu potrzebna jest przepustka, bo to teren zakładu. Nie ma szans na prawdziwy klub środowiskowy.

Ulica Krochmalna nie jest tętnicą, która łączy z miastem, ale zablokowaną żyłą. W „jedynkach" jest najczęściej ciasno. Nie dlatego, że ludzi mieszka tu zbyt dużo, ale dlatego, że po każde głupstwo, a zwłaszcza nie po głupstwo, do szkoły, do pracy — jeździ się „do miasta". W „mieście" chodzi się do kina, „w mieście" odwiedza się znajomych. Ale pełniejsze powiązanie z życiem wielkomiejskim grozi zdradą dzielnicy. Można po prostu zobaczyć, że gdzieś, nie tak znów daleko — ludzie żyją lepiej. Że w deszcz, taki jak dzisiaj, nie trzeba iść z wiaderkiem po wodę, ani z latarką do budyneczku, który różni się od zwykłych komórek serduszkiem w desce wyciętym. Można zobaczyć, ale nie wszyscy tego pragną. Kto tutaj sam zbudował dom, postawił komórki i hodował gołębie albo króliki — ten chce tu pozostać. Nowy świat? Po co?

Ja odchodzę. Do widzenia.

Jeszcze tylko bieliznę zdjąć ze strychu, walizkę zapakować. Ten strych to drapacz chmur z czasów mojego dzieciństwa. Przez okienko widać było wszystko: dachy domów i komórek, uliczki, działki, łąki i daleko, daleko cztery topole, zbłękitniałe od barwy horyzontu. Na tych topolach zatrzymywały się marzenia. Żeby tak dojść, dofrunąć... Cztery topole, zielone jak topole, rosną teraz przed moimi oknami.

Kamena str. 8

wieś tworząca w „KAMENIE"

Ziemia i Pieśń

Rok IX czerwiec 1973. Nr 27

Na Rynku w Kazimierzu

Fot. L. Leo

Stanisław Buczyński

Zbliża się czerwiec

Zbliża się czerwiec. Sianokosy
Runą rozgwarem z łąk zielonych
Kos i kosiarek dźwięczne głosy
Zagrają niby dzwony.

Od łąk nadleci dziwne echo
I krasne chustki zalśnią w łące,
Aż się zadziwi ponad strzechą
I się zaśmieje — słońce.

Nim słońce w stawie się utopi
I w złoto zmieni wodę,
Pachnącym sianem tysiąc kopic
Dziewczęta kusi młode...

Spłynie piosenka z ust jak miody,
Obudzi krew, przyspieszy tętno,
Pójdzie kolejką dzbanek wody
Jak w nawspanialsze święto!

Kotorów, pow. Hrubieszów

Jan Nadolny

Sosny

Ach, jak sosny się rumienią
całowane zorzą.
Panieńsko się uśmiechają,
nim w sen głowę włożą.

Pod kołdereczką granatową
nabitą gwiazdkami,
oddychają ciszą letnią,
natury cudami.

W marzeń zwidzie oglądają
paprociowe kwiecie,
pieśń milczącą nucą sobie
w kryształowym lecie.

Sławią gody wsze w przyrodzie,
seledyny, świty,
zawsze rankiem cześć oddają
chleb niosącym żytom.

Wielbark, pow. Szczytno

Marian Karczmarczyk

W sadzie

Pąki
urodziły kwiaty,
potop woni
zalał sad —
wszedłem.
Kąpiąc płuca
czułem,
że pięknieje świat.
Pszczoły ucztę rozpoczęły
i zagrały,
ile sił.
Wiatr listkami
trącał liście,
jakby nimi
brawo bił.

Komarów, pow. Tomaszów Lub.

8-10 czerwca w Lublinie

XLVIII WALNE ZGROMADZENIE POLSKIEGO TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO

W DNIACH od 8 do 10 czerwca obradować będzie w Lublinie XLVIII Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, jednego z najstarszych towarzystw naukowych w Polsce i Europie; powstało ono we Lwowie w roku 1895. Do podstawowych jego zadań należało prowadzenie wielokierunkowych badań dotyczących ludu polskiego, bogacenie wiedzy etnograficznej, inwentaryzacja i zabezpieczanie zabytków, które następnie powiększały kolekcje muzeów. Od momentu powołania Towarzystwa po dziś dzień cele te realizowane były i są nadal przede wszystkim dzięki własnemu organowi naukowemu pt. „Lud".

Odzyskanie niepodległości po I wojnie światowej spowodowało dalsze ożywienie życia naukowego i wzrost zainteresowań w dziedzinie etnografii. W tym też czasie powołano do życia katedry etnograficzne w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Warszawie i Wilnie.

Po wyzwoleniu — co odnotowujemy z prawdziwą satysfakcją — pierwsze (a XXI z kolei) Walne Zgromadzenie TL odbyło się w Lublinie w roku 1945. Inicjatorami jego byli dawni członkowie Towarzystwa — z J. Czekanowskim, J. Gajkime, J. Halbanem i J. Mydlarskim na czele. Wtedy to m.in. zapadła uchwała o zmianie nazwy Towarzystwa: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze zamiast Towarzystwo Ludoznawcze. Do roku 1951 siedziba Towarzystwa mieściła się w Lublinie, następnie przez dwa lata w Poznaniu, by ostatecznie od roku 1954 znaleźć się we Wrocławiu.

Aktualnie Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, którym kieruje Zarząd Główny z prof. dr Kazimierą Zawistowicz-Adamską na czele, posiada 19 oddziałów terenowych: w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Toruniu, Lublinie, Łodzi, Gdańsku, Koszalinie, Opolu, Kielcach, Zabrzu, Zielonej Górze, Zakopanem, Mszanie Dolnej, Olsztynie-Olsztynku, Łańcucie, Przemyślu i Sanoku.

W połowie 1972 r. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze liczyło 670 członków, w tym 30 proc. stanowili etnografowie z wyższym wykształceniem, 14 proc. studenci etnografii, 16 proc. członkowie z wyższym wykształceniem w zakresie nauk pokrewnych (archeologii, historii, muzykologii, socjologii itp.), nauczyciele i grupa miłośników etnografii ze średnim wykształceniem. W ciągu kilku lat po wojnie Towarzystwo było jedyną instytucją integrującą środowisko etnograficzne.

Działalność naukowa PTL obejmuje bardzo szeroki wachlarz zagadnień — od badań nad problemami ogólnopolskimi, aż do specjalistycznych, regionalnych włącznie.

Na pierwszy plan wysuwają się prace nad atlasem etnograficznym ziem polskich, następnie badania terenowe zmierzające do opracowania monografii regionalnych oraz uruchomienie serii wydawniczej pod nazwą „Atlas Polskich Strojów Ludowych" (na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki).

Trudno wymienić wszystkie pozycje, które złożyły się na imponujący dorobek wydawniczy PTL, ale nie ulega wątpliwości, że fotooffsetowe wydanie „Dzieł wszystkich" Oskara Kolberga jest ewenementem na skalę europejską, jeśli nie światową. Do tego trzeba dodać kilkadziesiąt tomów głównego organu towarzystwa pt. „Lud", 21 tomów „Prac i Materiałów Etnograficznych", 9 tomów „Prac Etnologicznych", 30 zeszytów „Atlasu Polskich Strojów Ludowych", 30 tomów „Archiwum Etnograficznego", 5 tomów „Biblioteki Popularnej", 14 roczników „Łódzkich Studiów Etnograficznych" i wychodzącego od roku 1957 dwumiesięcznika (z przerwami) pt. „Literatura Ludowa".

Jeśli do tego doda się liczne sesje naukowe i popularnonaukowe o zasięgu ogólnopolskim czy regionalnym, konferencje, kontakty i wymianę informacji, wreszcie wielopłaszczyznową działalność na rzecz upowszechniania wiedzy etnograficznej tak słowem, jak i piórem (dotychczas PTL ma na swoim koncie około 4 000 arkuszy wydawniczych) — otrzymamy i tak niepełny obraz dorobku Towarzystwa, które z tak wielkim powodzeniem włączyło się do kampanii pod hasłem „Kultura ludowa dobrem narodu".

Lubelskiemu Oddziałowi PTL gościny użyczyło Muzeum Okręgowe na Zamku. Oddział liczy aktualnie 24 członków, rekrutujących się w większości spośród pracowników naukowych UMCS, Muzeum Okręgowego, Muzeum Wsi Lubelskiej i Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Prezesem Oddziału jest dr Krystyna Marczakowa z UMCS. Członkowie tej niezbyt licznej, ale prężnej placówki biorą czynny udział w wygłaszaniu odczytów i wielu innych imprezach, pracują też, wraz z innymi, nad monografią etnograficzną Lubelszczyzny.

Życząc Towarzystwu owocnych obrad w naszym mieście, pragniemy przy okazji przedstawić dwie pozostałe placówki działające na rzecz etnografii: Muzeum Wsi Lubelskiej i Dział Etnografii Muzeum Okręgowego na Zamku.

(R)

Muzeum Wsi Lubelskiej

UTWORZONE w roku 1969 Muzeum Wsi Lubelskiej rozpoczęło działalność w roku 1970. Podstawowym jego celem jest przeniesienie na wybrany teren kilkudziesięciu zabytkowych obiektów drewnianych i udostępnienie ich publiczności w ekspozycji na wolnym powietrzu. Jak dowiodło życie, jest to jedyny sposób ocalenia i przekazania przyszłym pokoleniom cennych reliktów architektury ludowej.

Teren przeznaczony na tę ekspozycję obejmuje 12 ha i jest położony między ul. Kalinowszczyzną a przyszłą trasą W-Z. Projekt przewiduje przeniesienie 50—60 budynków reprezentujących wszystkie rodzaje budownictwa drewnianego, zwłaszcza zaś wszystkich typów chałup występujących w województwie. Szczególną uwagę przywiązuje się do ludowego budownictwa przemysłowego, na Lubelszczyźnie bowiem występują wszystkie rodzaje wiatraków i młynów wodnych, wiele odmian olejarni, a także szereg urządzeń świadczących o samorodnej ludowej wynalazczości.

Wszystkie obiekty będą miały, oczywiście, tradycyjne wyposażenie wnętrz, niektóre zostaną ożywione przez zainstalowanie w nich czynnych urządzeń, np. warsztatu tkackiego, garncarskiego itp.

Muzeum zgromadzi nadto dawne narzędzia rolnicze, pokaże pojazdy chłopskie, urządzi poletka z dawnymi uprawami zbożowymi i warzywniczymi. Znajdą się tu również, pozostawione in situ, 3 domy mieszczańskie.

Szereg trudności, szczególnie pozyskanie wolnych od zabudowy terenów, powoduje pewne zahamowania. Z tych właśnie względów przeniesiono dotąd jedynie dworek Wincentego Pola. Urządzono w nim muzeum biograficzne poety, geografa i pierwszego naukowca-etnografa.

W trakcie przenoszenia jest najładniejszy w kraju drewniany dwór klasycystyczny z Żyrzyna, który w ten właśnie sposób został uratowany przed zniszczeniem.

W roku bieżącym znajdzie się tu jeszcze wiatrak-holender z Zygmuntowa w pow. krasnostawskim oraz podcieniowy spichlerz z 1770 r. z Wrzelowca. Oba te obiekty nie mają szans na zachowanie ich na dotychczasowych miejscach. Na uroczystości 30-lecia PRL projektuje się przekazanie pierwszej części ekspozycji na wolnym powietrzu z co najmniej 6 obiektami.

Muzeum prowadzi również badania terenowe z wszystkich dziedzin kultury ludowej Lubelszczyzny, w miarę możności zabezpiecza niektóre obiekty w terenie, inwentaryzuje obiekty nie mające szans zachowania.

Wobec szybko postępującego procesu urbanizacji wsi, tym samym nieuchronnego a społecznie uzasadnionego zaniku tradycyjnej kultury materialnej wsi i małych miasteczek, działalność Muzeum powinna być przyspieszona, by umożliwić uratowanie resztek już skarbów kultury, będącej — jak głosi aktualne hasło — dobrem narodu.

Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego

OBEJMUJE swoją działalnością teren województwa lubelskiego, oraz — dla celów porównawczych — tereny sąsiadujących województw: rzeszowskiego, kieleckiego, białostockiego. Pracownicy jego prowadzą badania terenowe typu monograficznego dotyczące wybranych zagadnień z kultury ludowej oraz badania inwentaryzacyjno-penetracyjne połączone z zakupami. Prowadzone one są indywidualnie lub zbiorowo, a obejmują wszystkie działy kultury ludowej: materialną, społeczną i duchową.

W pierwszych latach powojennych praca polegała głównie na ratowaniu i uporządkowaniu ocalałych eksponatów. Do chwili upaństwowienia muzeum w 1950 r. i otrzymania etatów naukowych, pracownicy działu zorganizowali jedną wystawę. Obecnie pod względem ilości zbiorów etnograficznych (ponad 14 000 eksponatów) Muzeum w Lublinie w kategorii muzeów okręgowych jest na pierwszym miejscu w Polsce.

W wyniku badań terenowych zebrano pokaźny materiał: ponad 3 000 stron tekstów, 9 000 negatywów, ponad 1 300 rysunków oraz 700 nagrań magnetofonowych. Archiwum terenowe liczy około 6 000 kart i dwa dokumentalne filmy krótkometrażowe — o garncarstwie i badaniach terenowych.

Dział Etnograficzny do chwili obecnej zorganizował ponad 40 wystaw — stałych, czasowych i objazdowych. Do najbardziej interesujących zaliczyć można wystawy: Sztuka ludowa Lubelszczyzny, Przemysł ludowy Lubelszczyzny w XIX i XX wieku, Od motyki i sierpa do traktora i kombajnu, Stroje ludowe Lubelszczyzny, Wycinanki Ignacego Dobrzyńskiego, Garncarstwo ludowe Lubelszczyzny, Obrzędy ludowe na Lubelszczyźnie, Lubelskie tkactwo ludowe, Ludowe plecionkarstwo Lubelszczyzny, Rybołówstwo ludowe na Lubelszczyźnie.

Szczególnym zainteresowaniem cieszyła się wystawa lubelskiej sztuki ludowej, która eksponowana była w kilkunastu miastach Polski oraz w ZSRR i na Węgrzech.

Oprócz organizowania badań terenowych i wystaw, Dział Etnograficzny prowadzi akcje popularyzatorskie poprzez konkursy i targi sztuki ludowej, odczyty oraz seminaria i szkolenia dla pracowników różnych placówek kulturalnych.

W drugą rocznicę śmierci Jana Pocka

Śpiewają śmieją się pola

26 CZERWCA mija druga rocznica śmierci autora „Maiw", „księcia poetów ludowych". Ta świadomość wyzwala niejako automatycznie wspomnienia. Zabrakło Jana Pocka wśród nas, ale pozostały po nim trwałe ślady w postaci opublikowanych wierszy na łamach czasopism, tomików, antologii i rękopisów. Kiedy sięgam do utworów Jana Pocka, zawsze przypominają mi się dwie rozmowy przeprowadzone z poetą. Jedna z Gutanowa, kiedy Pocek przyjechał na jubileusz Bronisława Pietraka, druga z wieczoru poezji ludowej, który odbywał się na Zamku lubelskim.

W Gutanowie kwitły wówczas bzy liliowe, białe i amarantowe, a tak urodziwe, że trudno było oderwać od nich wzrok, bo kiście były ogromne, pachnące, ciężkie od kwiatu. Pocek wziął jedną z nich w dłoń i długo się przyglądał, a w takim skupieniu, jakby czynił studia poetycko-malarskie, by potem uwiecznić je w którymś tam ze swoich utworów. Zaczęliśmy dialog o kwiatach. Zwierzał mi się, które są jego ulubionymi. Nie były to wyszukane pachnące piękności, ale te napotykane w wiejskich ogrodach, na łąkach, miedzach i wśród zboża. Łubiny, mlecze, malwy, goździki, bławatki, koniczyny, kaczeńce — to były Pockowe kwiaty, o których nie zapomniał przy tworzeniu. Pojawiały się one w poetyckim kontekście obok najdroższych mu osób — matki i ojca:

kiedy się tak zapatrzę
w te pola w te jasne niwy
to widzę w mleczach twarz matki
a ojca w bławatkach sinych

Drugie spotkanie, w którym ujawnił się Pocek jako twórca wrażliwy na kształt i kolor, miało miejsce na wspomnianym już wieczorze poetów ludowych na Zamku. Siedziałam wówczas obok niego. Ktoś zawodowo przygotowany do recytacji deklamował utwory twórców spod strzechy. Na sali panowała cisza. Tylko słowa deklamujących przypominały nam o urokach wiejskiego krajobrazu. W koncepcji reżysera strofa za strofą padała bezimiennie.

Przyszła kolej na utwory Jana Pocka. Spojrzałam na poetę. Stwierdziłam, że z wielką uwagą słuchał wierszy i nie mógł się nadziwić, że można tak pięknie pisać o ziemi — *chłopce w koralach z biedronek z kokardkami maków we włosach* a potem szepnął mi: ależ to dobry utwór, jaki piękny, chciałbym tak właśnie pisać... Uśmiechnęłam się i powiedziałam: — To przecież pana utwór, nie poznaje pan własnego dziecka? Istotnie, nie poznał. Jestem pewna, że było to wyznanie szczere, bo Jan Pocek nigdy nie przybierał pozy, obca mu była mistyfikacja. Czuł się przede wszystkim rolnikiem — „potomkiem Piasta", a dopiero w dalszej kolejności poetą.

Swój świat poetyckiej wizji zamknął w opłotkach wsi, z którą związał się na całe życie. Z dumą podkreślał, że jest poetą ludowym, że pragnie pisać o wsi i dla jej mieszkańców opiewać trud, ale też i piękno pracy na roli. Właśnie praca w twórczości poety podniesiona jest do godności obrzędu religijnego. Podobnie patrzy tylko na naturę:

Pocek, wsłuchany w szept ziemi, pragnął nauczyć się od niej mowy, tropił ją w śpiewie ptaków, szumie pszenic i cykaniu świerszczy. Potrafił w lubelskim krajobrazie odnaleźć takie ścieżki, do których nie udało się wielu poetom dotrzeć i pokazać nieznane, wręcz egzotyczne oblicze wsi. Właśnie ziemię prosił, by nauczyła go swoich melodii, tak potrzebnych mu w pracy twórczej. Toteż w utworze pt. „Naucz mnie ziemio" tak pisał:

oj ty ziemio ziemio najdroższa
naucz mnie swego wesela
które w pszenicach srebrnych owsach
nocą pod gwiezdnym niebem śpiewa
i naucz mnie swoich melodii
jak uczysz kaliny czeremchy
bym nigdy nie przestał tworzyć
do ciebie podobnych wierszy

Jak przystało na malarza, miał kapitalne wyczucie palety barw na czele z purpurą, błękitem, złotem i srebrem. Umiał wyzyskać ich maksymalne nasycenie, ale też stonować bielą i szarością, by uzyskać zaledwie pastelowe muśnięcie. Czuł doskonale, że jedynie kolor nie ukaże jej piękna, że pełnię uroków krajobrazu uzyska wówczas, gdy wprowadzi do swoich wierszy „melodię pól". I tak właśnie barwa oraz dźwięk stanowią podstawowy budulec jego przenośni i porównań. W ślad za tym poszedł następny nakaz twórczy, by konstrukcja utworów, wyrażona przy pomocy najmniejszej ilości słów, była jednak przejrzysta i mocna, taka, w której zamieszkałby ton powagi, refleksyjność i głębia filozoficzna. Udało się to Pockowi znakomicie.

Poeta nigdy nie doceniał swojego dorobku, był za skromny i chyba nigdy nie przypuszczał, że ustanowiona zostanie doroczna Nagroda Artystyczna im. Jana Pocka, ufundowana przez redakcję „Chłopskiej Drogi" dla najwybitniejszych twórców ludowych. W najbliższych dniach zostanie ona przyznana już po raz drugi, podobnie jak nagrody i wyróżnienia również w dorocznym konkursie poetyckim ZG STL o laur jego imienia. Wiersze jego nadal często pojawiają się na łamach prasy, zaś Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza jeszcze w tym roku opublikuje trzeci samodzielny tomik poezji Jana Pocka.

Elżbieta Rosiak

Jan Pocek

nie opuszczę

nie opuszczę ja ziemi
nad którą niebo sine
pachnie młodym jęczmieniem
brzeziną i łubinem

w chacie zakończę życie
pogodnym jasnym wieczorem
wpatrzony w blask gromnicy
w ostatnie w życiu zorze

a potem potem z trumną
serce gwieździstą nocą
oddam drzewom ogromnym
kwiatom i żytnim kłosom

śmieją się pola

śpiewają śmieją się pola
kiedy wiosną na ich piersi
wychodzą orać siać bronować
ludzie piękniejsi od wierszy

i ptaki — bociany skowronki
wracają z podróży dalekiej
przynoszą poezję słońca
znad lodu rozkwitłe rzeki

a potem czarny zagon
swe stopy piersi i dłonie
stroi w jasną żywą radość
która jedynie w wierszach płonie

zawsze cię błogosławię

ziemio sośniną zielona
od piachu jasna jak zorza
zawsze
gdy ujrzę
w twoich dłoniach
szumiące zboże
błogosławię cię wraz z skowronkiem
śpiewem
i słońcem

chwile

są takie chwile
że w polach
wśród dojrzewających żyt i owsów
wyczuwam
cień boga
i zasiew nieskończoności
wówczas
wierzy me serce
że nim zagaśnie
nim ostatni raz uderzy
dotrze
w głąb piękna
do dna poezji

Wycinanka Bronisława Pietraka z Gutanowa pow. Puławy

mój wiersz

mój wiersz
z płomieni i kwiatów
ze śmiechu i płaczu jaskółek
miłość i piękno
niesie światu
tęczę nad wsią maluje
i ziemi jak niebo szerokiej
jak szczęście uśmiechniętej
kaliną stroi warkocze
a oczy — kaczeńcem

gdy się zapatrzę

kiedy się tak zapatrzę
w te pola w te jasne niwy
to widzę w mleczach twarz matki
a ojca w bławatkach sinych

a w żywych maleńkich gwiazdkach
czerwonej koniczyny
widzę w len odzianego piasta
jak pełni postrzyżyny

i w każdej twarzy siewcy
widzę troszeczkę błękitu
i bukiet najprostszych wierszy
rozkwitłych złotą pszenicą

Autonomiczny dodatek „Ziemia i pieśń" pod redakcją dr. Romana Rosiaka.

Bronisław Pietrak

Błazejowe przygody

SIRPNIOWE słuńce niemiłosiernie przypikało ji miało się ku południowi, kiej Błazej jun się sykować do drogi. Jutro przecie łodpust w sunsiedni parafji na Pańskie Przemienienie, totys Błazej postanowiuł w łurocystości łucestnicyć. Chcioł sie przecie pokozać na łodpuście, bo to ji nowe buty se kupiuł, ji kapelus z krajki se łusuł, no ji sukmane „fijorufke" mioł paradnu. Włozuł se nowu kosiule, zawiunzoł cerwunu stunsku kołmirz, wdzioł zgrzebne gacie, na to portki granatowe, cornu kamizelke z dwuma rzędami guzików, przepasoł sie pasem, buty przewieściuł na losce przez ramie, na drugie zarzuciuł sukmane ji był do drogi gotowy.

Magda wręcyła mu węzełek z syrem ji gotowanemi jajkami, przezegnoł sie ji ruszuł przed siebie. Mijoł żniwiorzy spocunych przy procy, chwoluł Boga, zycuł „Boze dopomós" ji rażno zed, bo chcioł za dnia minunć las, w chtórem ło wilków nie było trudno. Ledwie łused se śtyry wiorsty drogi, chdy za sobu łusłysoł klekot furmanki, na chtóry jechoł karcmarz Jankiel. Jankiel przecie znoł Błazeja, totys nie wypodało go minunć ji zaprosiuł Błazeja na wós.

Rot był Błazej z tego łowarzystwa, bo nowe gacie straśnie go tarły po nogach a ji słuńce dopikało. A ji Jankiel rot był z Błazejowego towarzystwa, bo wiedzioł, ze w lesie mozno się spotkać z wilkami, to we dwóch prendzy dadzu se rade. Wós Jankla, naładowany piwem, łokowitu ji kiełbasu cięsko tocuł sie po piascysty drodze, totys Jankiel przynagłoł kunia batem, byle prędzy minunć las.

Z łulgu łodetchneni, chdy wjechali w las, bo to ji kurz nie dokucoł a ji chłód był w lesie. Teras Błazej wesoło rezunowoł ji śmioł się, jas mu w garle rechotało. Jankiel straśnie sie boł wilków, totys jun Błazeja łucisać ji powiado: Ej, Błazeju, łuspokujcie sie, bo chto rano sie śmieje, ten na wiecór płace. — E, głupiś, Zydzie, bo przysłowie powiado, ze kogo Pan Bóg prowadzi, temu złe nie radzi.

— Łoj, zeby wase słowa były święte, podchwyciuł wystrasuny karcmarz.

Jechali tera spokojnie, rozmyślajunc kazden po swojemu. Jeden, jakie bedzie mioł korzyści dla zbawienio swoji dusy. Drugi, jile bedzie z handlu grosiwa. Dojizdzali do skraju lasu, chdy dolecioł jich głos wycia wilków. Jankiel jun smagać kunia batem, aby prędzy wydostać się z lasu. A tam, jak łokiem spojrzyć, łunki ji pełno brogów siana a tus za niemi wieś. Wycia stawały się coraz wyraźniejse, to ji kuń strzyg łuszami, ji przyśpisoł kroku. Wjechali w gęsto łustawiune brogi ji stogi siana, chdy z lasu wypadło stado wilków w poguni za niemi. Trzeba było sie przecie jakoś ratować. Jankiel, chuć mu było bardzo skoda, zruciuł kilka bochnów chleba, co postrzymało na kwile wygłodniałych drapiżników. Dopadli łupu ji zrobiło sie kłębowisko, na widok cego sum Jankiel poweseloł. Ji znów tako porcja powędrowała z wozu do powstrzymania wilków. Ale niebezpieczeństwo rosło z kazdu kwilu. Teros skierowali kunia do brogu z sianem, jile kuń wyskocy. A wilki tus za niemi. Wystrasuny kuń wbiuł dysiel w siano ji ni móg sie rusyć. Tylko Jankiel z Błazejem zdążyli wskocyć na bróg siana, chdy wilki dopadły fury.

Nim łochłuneni z wrazenia, włosy staneny jem dęba. Na sienie społ miś. Błazej, ze chłop był na schwał ji mocny jak zwirz, zapar się ji zepchnun śpiuncego misia na rozjusonych wilków. Zrobiła sie jedna kotłowanina. Wilki sarpały misia a miś proł ło zimie wilkami. Był jeden charkot ji wycie dogorywujących bestji. Miś sie z niemi rozprawiuł, ale ji sum dogorywoł.

Teraz tylko Jankiel z Błazejem patrzyli na siebie. — No, widzicie, Błazeju, ze chto sie rano śmieje, to wiecór płace — powiado Jankiel. — Tak... ale kogo Pan Bóg prowadzi, temu złe nie radzi.

Tak to spełniły sie wuntki ludowego przysłowia. A te su mundrościu narodów.

Gutanów, pow. Puławy

Kapela z Woli Góreckiej

Fot. J. Magierski

Henryk Biłka

Łąka i nenufar

Łąka kwietna się ściele kędy rzucisz okiem:
długie trawy wyrosły, jeszcze dłuższe kwiaty,
patrzą tak z utęsknieniem jak więzień zza kraty,
do którego nie wolno dostąpić ni krokiem.

Dęby, olchy i brzozy przystanęły bokiem,
każde jakby rozwiało płaszcz w szmaragd bogaty,
w którym nuci swe pieśni trubadur skrzydlaty
a czasem wąż pień modry opasze jak trokiem.

Ze szklistej tafli — zda się — to wyrasta
a nenufar w swych płatach białą głowę wznosi.
Biegnę, by go uwolnić, choć o to nie prosi,
oczy cudne odwraca jak dumna niewiasta.
Nie bój się! nie dostanę ja cię z tej topieli,
bo dostąpić nie mogę, ciebie to weseli!!

Andrychew

Hanka Nowobielska

Mój namiot

Mam z gałęzi świerkowych namiot
i cóż mi potrzeba więcej?
Jest w nim cisza,
i śpiewy ptaszęce
i płaty mchu jak aksamit.

Miast ludzi
grają mi świerszcze,
które swą nutą nie kłamią.

Mam z gałęzi świerkowych namiot
i cóż mi potrzeba więcej?

Wiatr leśne dzwonki kolebie
i małe serduszka drżączki
jak srebrne krople rtęci.
I brak mi tylko ciebie,
by cię zachęcić: spocznij...

Białka Tatrzańska, pow. Nowy Targ

„Białe kołnierzyki"

PISARSTWO Janusza Olczaka (znane czytelnikom „Kameny" z drukowanych w tym piśmie prozatorskich fragmentów, a obecnie z wydanej w LSW książki „Białe kołnierzyki" *) ma w sobie rozmach „sarmackiej" jowialności. Naznaczone jest piętnem sytuacyjnego humoru, satyrycznej drwiny i pozornej beztroski. Owa właśnie „beztroska", graniczące z bierną postawą wobec przepływających wydarzeń, każe bohaterom „Białych kołnierzyków" przyjmować życie w jego codziennych wymiarach, wstrzymuje ich odruch zniecierpliwienia i ewentualnego buntu. Wszystko, cokolwiek się dzieje — umyka spod kryteriów wewnętrznego wartościowania, bo ma wartość rzeczy zaistniałej, którą można ująć jedynie w nawias pobłażliwego uśmiechu prostodusznego zresztą narratora.

Bohaterowie kolejnych opowiadań „Białych kołnierzyków" (nauczyciel, meliorant, kierownik pegeeru, student) grzęzną w marazmie prowincjonalnego życia, wchodzą w towarzyskie koterie i miejscowe rozgrywki; praktykują łapownictwo, któremu towarzyszy znów pijański wyziew alkoholu. Mają zapewne dobre chęci (kusi ich nawet perspektywa osiągnięcia białego kołnierzyka oraz białego mankietu), ale szybko chęci te tracą w trakcie codziennych wydrzeń. Pozbawieni dążeń stabilizacyjnych, poszukują coraz to nowych wzruszeń, zmieniają miejsca pracy i w gruncie rzeczy — zaspokajając żądzę przygód i poznania — zaniżają swe i tak niewysokie aspiracje osobisto-społeczne. Stają się niekiedy (jak w opowiadaniu „Krąg zbrodni") groźnymi dla otoczenia przestępcami.

Wartość debiutanckiej książki Olczaka (nagrodzonej II nagrodą w powieściowym konkursie zorganizowanym przez LSW, ZLP i ZMW) kryje się jednak nie w typie zaprezentowanej rzeczywistości — a przynajmniej nie w sposób wyłączny — ani też bezpośrednio w charakterze „szarego" bohatera, który z inteligentem-arystokratą, częstym skądinąd gościem literackich wypowiedzi, ma najwyżej genealogiczne powinowactwa. Kryje się owa wartość w typie literackiego zdystansowania faktów, dojrzenia w nich elementów wewnętrznie trochę komicznych, a w samym świecie nie odbieranych w oparciu o zasadę śmieszności. Jest to tzw. śmieszność sytuacyjna powstała na skutek nagłego zestawienia sąsiadujących obok siebie faktów (albo grubych przerysowań); satyryczna i pozornie zamaskowana w jakby na serio prowadzonej opowieści. Oto przypadkowo wybrany przykład:

Tymczasem nasza robota posuwała się do przodu. Fater już jakby przestał pić. Nie wymagał przynajmniej dopingu. Wpieru zawsze z rana przed rozpoczęciem roboty chował butelki na trasie dniówki i dojeżdżając kinkietą [łopatą — T. P.] *do jakiejś wierzby czy krzaczka, wiedział, że ją tam znajdzie i opróżni ku zadowoleniu i ku wywczasom.* („Melioracja, czyli baśń o ulepszaniu").

Janusz Olczak akcję swych czterech opowiadań z „Białych kołnierzyków" prowadzi szerokim „frontem", dodatkowo rozdrabnia i chętnie tworzy zbiór „historii" wyjętych z życia poszczególnych bohaterów — przy pomocy uśmiechu i wywołanego zaciekawienia — przemyka się po powierzchni jednych zdarzeń, by szybko wyczerpać następny zasób intrygujących zresztą sytuacji. Nie skąpi powieściowego materiału, nie eliminuje jego wielości, aby za pomocą kreacyjnych zabiegów poddać go głębszej psycho-socjologicznej obróbce. W jego pisarstwie widoczny jest (oby właściwie wykorzystany) pośpiech i zniecierpliwienie wypowiedzenia się do końca. W efekcie powstaje proza, którą można by określić mianem prozy „płaskiej", tzn. prozy małych figur, niegłębokich konstrukcji groteskowo-satyrycznych, a zatem i konstrukcji filozoficzno-poznawczych. Rodzi się (częściowo dziś już zarzucone) jej zbliżenie do reportażu, a może jeszcze bardziej: do satyryczno-obyczajowego felietonu, bo Olczak operuje zaskakującymi zestawieniami właśnie w obrębie małych tekstowo struktur. Działa jakby w nieobliczonym, ale satyrycznie ostrym kierunku. Najbardziej jasno uwidoczniło się to w błyskotliwym zestawieniu młyna z karuzelą (*bo i to przedsiębiorstwo i tamto się kręci, tworząc ruch w interesie*) w drukowanym w „Kamenie" (nr 4) fragmencie mającej się ukazać książki „Uniwersytety i wampiry chorążego Liszaja".

W „Białych kołnierzykach" takich paradoksalnych zestawień, opartych często na rzetelnej wiedzy o rzeczywistości, jest oczywiście dużo. Do nich należy np. prowadzony bardzo serio przez Zuzię (a z przymrużeniem oka obserwowany przez słuchaczy) wywód o zgubnym wpływie liberalnej cywilizacji Zachodu na prawdziwe, zgodne z gatunkowymi wyznacznikami rasowe „oblicze" psów:

— A skoro mowa o Zachodzie, to weźmy sprawę psów — wywodziła Pani Zuzia. — Mamy ich w Polsce cztery miliony. W Anglii, w tym sztandarowym państwie opieki nad zwierzętami, jest ich zaledwie sześć tysięcy. We Francji czterysta. Ich liberalizm w stosunku do psów polega na tym, że je wytłukli. Ja lubię i wiejskie kundle, a po Anglii uwijają się same paniczyki. O ile można wierzyć w choroby cywilizacyjne, to te pieski na pewno pierwsze padną na wściekliznę (s. 231).

Prosty i niepretensjonalny język „Białych kołnierzyków", nie stroniący od dosadnych (może nawet za bardzo) powiedzeń, przy nieskomplikowanym w zasadzie systemie opowiadania oraz sporej umiejętności zaciekawienia i rozweselenia zapewne sprawią, że książka Olczaka (o ładnej zresztą obwolucie) szybko zniknie z półek księgarń, a autor — mając w zapasie jeszcze kilka nie drukowanych utworów — może liczyć na wiernych sobie czytelników.

Tadeusz Polanowski

*) Janusz Olczak: „Białe kołnierzyki". Warszawa LSW, 1972, str. 233, cena 13 zł.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

NAUKI SPOŁECZNO-POLITYCZNE

Kazimierz Nowak: Sejm a rząd w Polsce Ludowej. PWN 1973, s. 231, zł 30.—

Halina Ognik: Aktywne niezaangażowanie. Wyd. MON 1973 s. 159, zł 5.— Autorka omawia kształtowanie się i rozwój polityki niezaangażowania prowadzonej przez wiele państw (w Europie przez Jugosławię). Pozycja ukazała się w serii: Ideologia, Polityka, Obronność.

Jerzy J. Wiatr: Marksistowska teoria rozwoju społecznego. Wyd. KiW, s. 603, zł 60.—

Wykład naukowy o ogólnych prawach powstawania, przeobrażania i zmian formacji społeczno-ekonomicznych w systemie społeczeństwa socjalistycznego.

Statut Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wyd. KiW 1973 s. 65, zł 3.— W statucie uwzględniono zmiany i uzupełnienia uchwalone przez VI Zjazd PZPR w grudniu 1971 r.

HISTORIA

Antoni Karpiński: Dowodzenie w armii radzieckiej podczas II wojny światowej. Wyd. MON 1973 s. 121, zł 7.— Praca zawiera mapy, tablice i bibliografię. Powstała w Zakładzie Studiów Doświadczeń Wojennych Wojskowego Instytutu Historycznego.

Tadeusz Gasztold: Śladami operacji pomorskiej. Wyd. Poznańskie 1973 s. 210, zł 18.—

Książka m. in. demaskuje mit propagandy rewizjonistycznej o tzw. wypędzeniu cywilnej ludności niemieckiej z Pomorza. Powstała w oparciu o pamiętniki.

Antoni Woszczyk: Baszta K-3 walczy. Wyd. Łódzkie 1973 s. 228, zł 40.— Pamiętnik dowódcy z walk „Baszty" w Powstaniu Warszawskim (na Mokotowie). Książka zawiera listę poległych i odznaczonych.

PEDAGOGIKA

Franciszek Urbańczyk: Dydaktyka dorosłych. Wydanie 2, rozszerzone. Ossolineum 1973, s. 311, zł 60.—

Ryszard Wroczyński: Edukacja permanentna. Problemy — perspektywy. PWN 1973, s. 298, zł 34.—

POEZJA

Warmia i Mazury w oczach poetów 1949—1970. Wybór i opracowanie: Edward Matuszewski. Wyd. Pojezierze 1973 s. 231, zł 20.—

Modra struna. Antologia poezji kaszubskiej. Red. Bohdan Kubicki. Wyd. Morskie 1973, s. 366, zł 40.—.

Karnawał dziadowski. Pieśni wędrownych śpiewaków XIX—XX w. Wyb. i oprac.: Stanisław Nyrkowski. Wstęp: Julian Krzyżanowski. Wyd. LSW 1973, s. 290, zł. 68.— Wydanie bibliofilskie.

Edmund Puzdrowski: Wiersze domowe. Wyd. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie 1972, s. 16, zł 22.—. Wydanie bibliofilskie.

PROZA

Czesław Czerniawski: Port macierzysty. Wyd. Śląsk 1973, s. 333, zł 25.—

Edward Redliński: Konopielka. LSW 1973, s. 230, zł 14.—

Günter Kunert: Pogrzeb odbędzie się w ciszy. Wyd. Poznańskie 1973, s. 218, zł 17.—

MUZYKA

Tadeusz Kaczyński: Rozmowy z Witoldem Lutosławskim. PWM 1973, s. 171, zł 30.—

Zofia Jeżowska: Fryderyk Chopin. Interpress 1973, s. 120, zł 15.—

T. Chylińska, S. Haraschin, H. Schäffer: Przewodnik koncertowy. PWM 1973, s. 876, zł 80.—

SPORT

G. M. Gagajewa: Psychologia gry w piłkę nożną. SIT 1973, s. 135, zł 15.—

Jerzy Talaga: Piłka nożna. Trening. SIT 1973, s. 286, zł 25.—

Stanisław Zakrzewski: ABC młodego siłacza. Wyd. 3 poprawione. SIT 1973, s. 181, zł 20.—

Jerzy Pawłowski: Trud olimpijskiego złota. MON 1973, s. 282, zł 25.—

Szyfrogram literacki nr 11

1	2	3	4	5	■	6	7	8	9	10	11	■	12	13	14	15
16	17	■	18	19	20	21	22	23	24	25	■	26	27	28	29	30
31	■	■	32	33	34	■	35	36	■	37	38	39	■	40	41	■
42	43	■	44	45	46	47	48	■	49	50	51	52	53	54	55	■
56	57	58	59	60	61	■	■	62	■	63	64	65	66	67	68	■
69	70	71	72	73	74	75	76	77	■	78	79	80	81	82	83	84
■	85	86	87	88	■	89	90	91	92	■	93	94	95	96	97	■
■	98	■	99	100	101	102	103	104	105	106	107	108	■	109	110	111
112	113	114	115	116	■	117	118	119	120	121	122	123	■	124	125	126
127	128	129	130	131	■	132	133	134	135	136	■	137	138	139	140	■

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce liczb przenieść do diagramu odpowiadające im litery. Pojedyncze czarne kratki odpowiadają przerwom między wyrazami, podwójne — przerwom między wierszami. Rozwiązaniem będzie początek wiersza czołowego przedstawiciela polskiego modernizmu, piewcy Podhala i Tatr.

Mąż córki — 136, 4, 31, 84.

Para kabli lub wieża przekaźnikowa — 129, 17, 112, 101, 41.

Blaszany instrument dęty — 60, 78, 25, 82, 45

Uprzywilejowany kolor — 34, 12, 11.

Choroba, której bakterie dostają się do ran z ziemią — 127, 5, 40, 118, 107.

Element mowy — 20, 48, 97, 109, 29.

Biblijny armator — 120, 86, 116.

Miał trzech synów — 72, 27, 119, 134, 121, 69,.

Ryba z wąsem — 125, 14, 42.

Biografia — 87, 131, 46, 61, 96.

Miasto powiatowe na Lubelszczyźnie — 1, 85, 26, 128, 13, 10, 65, 62.

Nie ma go bez ognia — 28, 67, 52.

Nie interesujący gaduła — 137, 2, 15, 126, 76, 135, 54, 79.

Na głowie i dzbanie — 55, 122, 108, 100.

Wskaźnik — 18, 110, 92, 66, 8, 83, 58.

Wysiłek — 64, 99, 59, 93.

Mieszka w tym samym mieszkaniu — 57, 90, 85, 71, 30, 75, 19, 63.

Liczba porządkowa — 114, 53, 35, 111, 105.

Zmarł jej mąż — 98, 33, 56, 70, 104

Drzewo z którego drewna robi się narty — 91, 88, 6, 36, 138, 24.

Zły znak — 133, 102, 140, 16.

Jedno z czterech zbóż — 7, 139, 38, 22, 37.

Oszczędny gryzoń — 132, 123, 73, 49, 103, 44.

Piękny ptak nadwodny — 94, 50, 3, 39, 74, 81.

Imię autora cytowonego tekstu — 124, 106, 32, 43, 89, 115, 80, 23, 113.

Jego nazwisko — 139, 9, 21, 68, 47, 117, 77, 51.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20—950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Rozwiązanie szyfrogramu nr 9

„Przez ciemnogrodzkie bulwary
mokre
chodził pod rękę idiota z łotrem
i naradzali się, że aż miło,
jak by ten światek cofnąć do tyłu".

(Fragm. utworu K. I. Gałczyńskiego)

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 9 nagrody wylosowali:

Tomasz Zugaj, Lublin, Godebskiego 19/2, Aleksander Kucharewicz, Biała Podlaska, Chrobrego 5/25, Eugeniusz Tokarczuk, Hrubieszów, Polna 15 m. 38, Maria — Leonard Gaś, Pabianice, ul. Fornalskiej 5 m. 4.

Listy do KAMENY

„Mierz siły na pieniądze"

Tekst, który publikujemy, to przesłany nam odpis wyjaśnienia skierowanego przez Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy do Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy Dział Prezydialny w Warszawie. Nie po raz pierwszy na krytykę prasową dotyczącą spraw lokalnych reaguje instytucja centralna, niejako zmuszając bezpośrednio zainteresowane i podległe jej jednostki do zajęcia stanowiska wobec kwestii poruszonej w publikacji.

Niestety, WZSP nie ustosunkowuje się w ogóle do zarzutu autora artykułu, Jerzego Dostatniego, że tegoroczny plan spółdzielni „Juventus" jest nadmiernie zwiększony, mimo ograniczenia działalności. Prezes Zieliński w rozmowie z autorem zgodził się z tym i obiecał plan zmniejszyć, ale i na obietnicy się skończyło.

W nawiązaniu do Waszego pisma z dnia 4 IV 1973 roku znak PRL — 216/73, dotyczącego nieprawidłowości podniesionych w artykule pt. „Mierz siły na pieniądze", zamieszczonym w dwutygodniku „Kamena" nr 4 z dnia 25 II 1973 r. odnośnie Studenckiej Spółdzielni Pracy „Juventus" w Lublinie, niniejszym informujemy, że w okresie 1970—1972 w działalności Spółdzielni wystąpiły znaczne nieprawidłowości, które powstały przede wszystkim z nieprzestrzegania przez byłe kierownictwo Spółdzielni obowiązujących aktów normatywnych z zakresu zasad organizacji i działalności przedsiębiorstwa, jak również z braku należycie sprawowanego nadzoru i kontroli, co znalazło potwierdzenie w protokóle z kontroli przeprowadzonej przez Delegaturę Najwyższej Izby Kontroli w Lublinie.

W wyniku szczegółowego przeanalizowania działalności i stanu organizacyjnego Spółdzielni Pracy „Juventus" oraz w celu wyeliminowania występujących nieprawidłowości — dokonano:

zmian personalnych w kierownictwie na stanowiska prezesa, kierownika technicznego oraz głównego księgowego Spółdzielni;

zlikwidowano działalność sekcji usług politechnicznych, w której wystąpiło gros stwierdzonych nieprawidłowości;

zatwierdzono nową strukturę organizacyjną Spółdzielni ze zwiększoną obsadą pracowników administracyjnych (o 4 osoby), w tym utworzono specjalne stanowiska do ewidencji zatrudnienia i kontroli pracy studentów, tj. referenta kadr studenckich, kontrolera brygad studenckich.

Zostały unormowane również sprawy dotyczące zatrudnienia i wynagradzania pracowników Spółdzielni nie-studentów oraz sprawy cen wykonywanych przez Spółdzielnię usług. Obecnie przyjęto jako miernik wykonanej pracy nie czas (godziny), lecz jednostki, jak tona, metr kwadrat., mb itp.

Ponadto decyzją Zarządu Związku komórki organizacyjne, to jest dział ekonomiczny, dział usług, dział finansowo-księgowy, zobowiązane zostały do udzielenia Spółdzielni „Juventus" maksymalnej pomocy. Obecny skład Zarządu Spółdzielni w pełni gwarantuje usunięcie zaistniałych nieprawidłowości, jak również zabezpieczy prawidłową działalność i rozwój Spółdzielni. Przeprowadzona w I kwartale 1973 r. kontrola działalności Spółdzielni przez Dział Usług naszego Związku nie ujawnia nieprawidłowości w bieżącej działalności gospodarczej.

Działalność Studenckiej Spółdzielni Pracy „Juventus" jest przedmiotem szczególnej troski Zarządu WZSP w Lublinie celem niedopuszczenia do powstania w przyszłości zaistniałych nieprawidłowości.

Eugeniusz Zieliński
Prezes Zarządu
WZSP w Lublinie

Bodźce kształcenia?

Dwanaście lat temu rozpocząłem pierwszą w swoim życiu pracę w dużym zakładzie produkcyjnym w Lublinie. Jako maturzyście, czyli człowiekowi bez kwalifikacji zawodowych, powierzono mi podrzędne, referenckie stanowisko w dziale kadr. Po pewnym czasie nawet awansowałem, dostałem wyższe uposażenie, lecz wkrótce zorientowałem się, że to jest koniec moich możliwości pięcia się w górę, albowiem z takim wykształceniem daleko nie zajdę. Uzyskawszy zezwolenie zakładu, rozpocząłem znacznie studia, zaraz potem żeniąc się. Szybko dorobiłem się dwojga dzieci, więc można sobie wyobrazić, ile wysiłku kosztowały mnie studia. Nie miałem dosłownie chwili czasu dla siebie, tym bardziej, że studiowałem kierunek na poły techniczny. Ale dzięki wyrozumiałej i dobrej żonie jakoś szedłem do przodu, zdając w terminie egzaminy. Ortem to i może nie byłem, ale w normie studenckiej mieściłem się.

Ostatecznie otrzymałem dyplom inżyniera, co podniosło mnie we własnych i rodziny oczach. Nic jednak poza tym. Owszem, napisałem podanie o zmianę stanowiska pracy, co automatycznie łączyło się z podwyższeniem zarobków, niewielkim, ale jednak. Odpowiedź przyszła odmowna, całkiem nawet dobrze umotywowana, że brak etatów, że może za rok, ale najpewniej za dwa lata. Więc pomyślałem sobie — będę jeszcze lepszy, no i zapisałem się na kurs magisterski. Ukończyłem go kilka miesięcy temu i oczywiście napisałem zaraz podanie, aby przydzielono mnie do pracy zgodnej z wykształceniem i kwalifikacjami. Przez cały okres studiów pracowałem we wspomnianym dziale, wykonując robotę, do której niepotrzebne są wyższe studia, jakaś specjalistyczna wiedza. Niestety, znów mi odmówiono, a w kadrach usłyszałem, że sprawa studiów to moja prywatna sprawa i żebym przestał zawracać głowę, bo i tak nic z tego nie wyjdzie.

Więc chciałbym zapytać, czy rzeczywiście studia są wyłącznie prywatną sprawą obywatela? Jeśli tak, to na jakiej zasadzie państwo dopłacało do mojej nauki? Jeśli tak, to dlaczego wpajano mi w szkole średniej, że człowiek ma prawo oczekiwać czegoś od społeczeństwa, jeśli sam wnosi mu coś wartościowego w wianie? Jestem rozgoryczony, a dyplom schowałem do szuflady, tylko czasami, podczas uroczystości rodzinnych, pokazuję go zebranym, aby choć tyle satysfakcji zebrać. Nie wiem tylko, na jak długo wystarczy mi ta zabawa.

E. K.
Nazwisko i adres
znane redakcji

Kadry

Zmiany społeczno-polityczne i gospodarcze, które od ponad dwóch lat dokonują się w naszym kraju, nie ominęły również tak ważnej sprawy, jaką są kadry. Analizuje się ich stan, wnikliwie będą przydatność zawodową i morale ludzi, coraz większą wagę przywiązując do poziomu wykształcenia osób kierujących różnymi działami gospodarki. Jak dotąd, w najmniejszym chyba stopniu przewentylowano kadry gminnych spółdzielni, a pora na to wobec takiego np. faktu, że aż 37 proc. kierowniczej kadry GS na Lubelszczyźnie posiada wykształcenie podstawowe, albo niepełne średnie, siedząc na stanowiskach po kilkanaście i więcej lat. Są to często ludzie uczciwi i zasłużeni, ale są to nierzadko ludzie za dobrze, powiedziałbym, „urządzeni" w życiu, zrutynizowani, niezdolni do zrozumienia zasad nowoczesnej gospodarki rolnej, zasad, które wprowadzamy na wieś, wiele sobie po tym obiecując. Wiem, że rozwiązanie tego problemu nie jest sprawą łatwą i szybką, ale sądzę, że nie można tracić jej z pola widzenia.

Jan Grzybowski
Zamość

»KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI I ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 52 zł, półrocznie 26 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. Lublin, ul. Jasna 8. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał MIECZYSŁAW PSUJEK.

Adres redakcji:
20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1316. 16.05.73. 18.125. G-4

falsetem

Wolę Mariusza

NA wstępie każdego kolejnego odcinka powieści pt. „Smak miłości i łez", drukowanej na ostatniej stronie „Kameny", rzetelnie informujemy naszych czytelników, że utwór ten ukazuje się na specjalnych prawach. Rubryka „Poste Restante" jest czymś w rodzaju szpilkowego „Hyde Parku", gdzie każdy może się wypowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że „Smak" zdobędzie sobie tak liczne grono sympatyków. Ba! Otrzymujemy nawet listy, z których dowiadujemy się, że pewni rodzice nazwali właśnie swego pierworodnego imieniem Mariusz! Wielu naszych młodych czytelników, a raczej czytelniczek, prosi o nadesłanie zaległych numerów „Kameny", bo pragną skompletować powieść.

Można się z tego śmiać, można wzruszać lekceważąco ramionami, ale rzecz sama w sobie jest nad wyraz interesująca. W dobie rakiet międzyplanetarnych, w drugiej połowie XX wieku ciągle popularna jest Helena Mniszek i jej gorsze czy lepsze następczynie.

Bohater „Smaku miłości i łez" ma wiele trudności w przystosowaniu się do współczesnego świata. Kocha dziewczynę, która na tę wielką miłość nie zasługuje. Z kolei zdaje sobie sprawę, że żywi do niego uczucie druga dziewczyna i on tego uczucia nie może odwzajemnić. Ale Mariusz nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach jest dżentelmenem, czyli — jak się dzisiaj mówi — frajerem. Nie daje się ponieść namiętnościom...

Osobiście wolę Mariusza od niejakiego Sali'ego, jednego z bohaterów opowiadania Artura Moore wydrukowanego w „Kurierze Lubelskim" z dnia 29 maja. Ów Sali prowadził wspólnie z Morrisem sklep sportowy. Między tymi dwoma panami powstały jakieś nieznaski, o czym doskonale była poinformowana dziewczyna Sali'ego, Greta.

Och, ta Greta to dobry numer! Sali opłacał jej apartament, dawał pieniądze na suknie, na prowadzenie gospodarstwa, na koniak. Wydawałby się: żyć, nie umierać. Ale dziewczyna chciałaby mieć więcej pieniędzy. Niestety! Gdy tylko Sali opuszczał jej mieszkanie, rzucała się na wazon, aby sprawdzić, ile zostawił dolarów. „Nigdy nie było dosyć na coś ponadto, czego czasami kobieta potrzebuje".

W tej sytuacji Greta zaczęła się buntować. Domyśliła się, że Sali zamierza zabić Morrisa. Uprzedziła go o tym i ostatecznie nie Sali zabił Morrisa, ale Morris Sali'ego. „Kula z rewolweru trafiła Sali'ego wprost między oczy".

Po tym zabójstwie, bądź co bądź dokonanym w obronie własnej, Morris zjawił się u byłej dziewczyny Sali'ego. I...

„— Chcę ci coś powiedzieć, Greto — rzekł Morris. — Interes powinien mieć zawsze tylko jednego właściciela, a kobieta tylko jednego kochanka. To ładnie, że dałaś mi wskazówkę o morderczych zamiarach Sali'ego!"

Po jego wyjściu Greta znalazła pod wazonem dwa razy więcej pieniędzy niż dawał jej Sali. I oto konkluzja myśli b. kochanki Sali'ego i aktualnej kochanki Morrisa:

„Być może śmierć Sali'ego nie powinna być przykładem dla innych, jednak każdy człowiek musi myśleć o swojej przyszłości. Zwłaszcza kobieta".

Kropka. I jeszcze inicjały tłumacza: „J. N."

Nie mam nic przeciwko powieściom i nowelom kryminalnym, nie twierdzę, że powinny one oddziaływać wychowawczo na czytelnika. Niech jednak bawią, niech nas odprężają psychicznie! Niestety, nowelka, o której piszę, nie tylko nie spełnia tych warunków, ale po prostu denerwuje.

Nie będę uderzał w wielki dzwon, mówiąc o propagowaniu odpowiednich wzorców osobowych itp., bo tego typu rozważania byłyby po prostu śmieszne.

Śmieszne w tym kontekście. Ale powtarzam: wolę Mariusza-frajera ze „Smaku" niż Sali'ego, Morrisa i Gretę, która tak umiała myśleć o swojej przyszłości. Do naśladowania nie zachęcam! A przed zaśnięciem poczytam Conan Doyle'a. Co klasyka — to klasyka...

MAJ

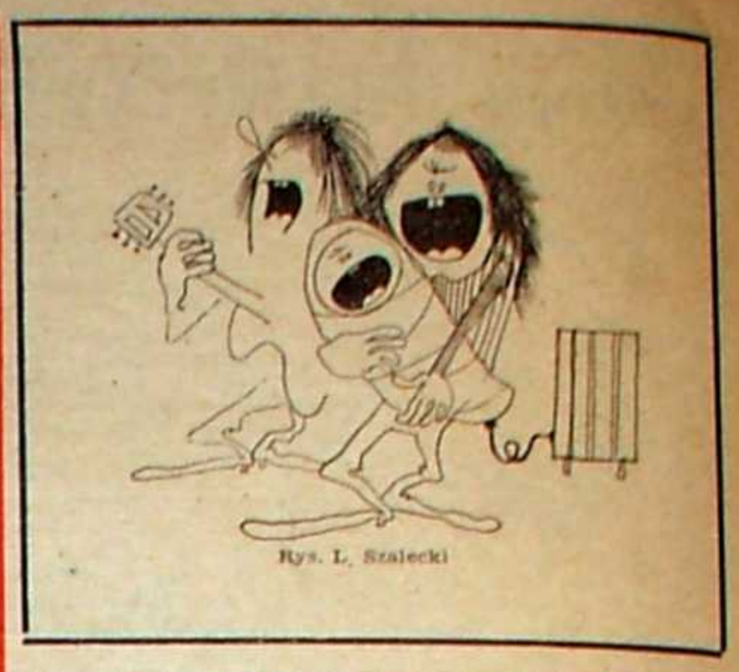

Rys. L. Szalecki

minuta myślenia

Pan na dwójkach

GDYBY ten felieton miał być referatem, musiałbym zacząć od niezaprzeczalnych osiągnięć zawodu nauczycielskiego, od ofiarności widocznej z jego strony w kształtowaniu przyszłego społeczeństwa Polski, następnie znanym zwrotem retorycznym przejść do zauważenia zjawisk ujemnych, o które mi właśnie chodzi. Darujmy sobie praktykowany konwenans. Wiemy, że to pierwsze jest oczywiste, przejdźmy do drugiego, o którym mówi się raczej rzadko. Rzadko z dwóch powodów: 1) nie poluje na nie publicystyka w tym słusznym przekonaniu, że sprawy wychowania powinny być otoczone należną atencją i poszczególne zjawiska ujemne podane publicznie mogą ulec fałszywej generalizacji, 2) tychże samych jest rzeczywiście mało, więc temat pojawia się sporadycznie. Nie jest to temat — rzeka. Raczej niewielki strumyczek. Ale i ten kiedy niekiedy wzbiera.

Autorytet nauczyciela, postawa nauczyciela. Nie powtórzę komunałów. Dodam tylko, że nie wynika ów autorytet z ustanowień oficjalnych, ale z rzeczywistych wartości prezentowanych przez wychowawcę, na co uczniowie — szczególnie starszych klas — są uczuleni i muszą być uczuleni, skoro właśnie szkoła wdraża w nich potrzebę samodzielnego i krytycznego myślenia. I jeszcze, że ten autorytet doznaje nieustannej weryfikacji ze strony uczniów, tak więc nie tylko oni przez niego, bo i on przez nich podlega egzaminowi. Bez stopni, bez wpisywania do dziennika, ale nie łudźmy się, że ta ocena cośkolwiek przez to, że nie zostawia śladów na papierze, posiada mniejszą moc. Posiada większą, ponieważ zostawia ślady w psychice.

Każdy nauczyciel jest przedstawicielem całego ciała pedagogicznego, reprezentując sobą wprost ideę wychowania, więc powinien czuć się obciążony tą odpowiedzialnością. Nie wolno mu być „indywidualistą" z pominięciem zasad postępowania w szkole eksponującym swoje własne nawyki i punkty widzenia. Ten, który uważa, że postawienie dwójki podnosi jego znaczenie jako surowego sędziego, mija się z powołaniem zawodu. Zdarzają się wypadki, że stopień nie jest sprawdzianem wiadomości ucznia, ale wyrazem gry prowadzonej przez nauczyciela z klasą.

Na przykład pytanie o cechy lasu tropikalnego. Kiedy uczeń odpowiada dobrze, a zaplanowany jest na „ścięcie", pada końcowa uwaga: „Tak, ale o jednej najważniejszej zapomniałeś. O tym, że jest zielony". Cóż na takie dictum? Chyba dodać samokrytycznie: „Rzeczywiście, panie profesorze, nie wspomniałem również, że rośnie na ziemi, a nie jest zawieszony w powietrzu". Czy postępujący w ten sposób nauczyciel nie rozumie, że jego gra jest rozszyfrowana? Że już nie pozostaje mu nic innego, niż siedemdziesięciu procentom w klasie postawić stopień niedostateczny? Albo: „Dzisiaj jestem w dobrym humorze, więc dostaniesz trójkę minus". To nie po wiedzę przychodzą uczniowie do szkoły, ale po enuncjacje na temat samopoczucia wykładowcy? Zanotujmy zatem: do obiektywnych sprawdzianów wiadomości ucznia należy kwestia, jakie nauczyciel zjadł śniadanie i czy nie pokłócił się z kimś w trolejbusie.

Wychowanie jest jednym z najczulszych nerwów naszego organizmu społecznego. Jest również jednym z najdelikatniejszych instrumentów oddziaływania na społeczną świadomość. Tę najcenniejszą, bo należącą do ludzi przyszłego dorosłego pokolenia. Sprawa wykracza poza jednostkowy incydent. „Drugiej Polski" nie będzie budował taki nauczyciel z powodów czysto metrykalnych. „Drugą Polskę" będą budowali ci, których on obecnie stara się — wbrew rzeczywistości — zdeprecjonować, których w najlepszym razie jeśli czegoś uczy, to lizusostwa. I to jest jego „wkład" w przyszłe dzieło, jeśli nie mający dać „owoców", to jedynie przez przerastający go krytycyzm i umiejętność sądzenia u jego wychowanków. Dziwne, że sam tego nie rozumie. Dziwne również, że nie rozumie metod, jakimi zdobywa się poważanie, posłuch i znaczenie. „Autorytet" realizuje negację. On odwiedza szkołę dla siebie. Dla wyeksponowania własnej osoby jako wszechwładnego dyktatora nieletnich. Nie dla nich. Oni muszą odczuwać presję i czuć się nią zagrożeni. Bo las tropikalny jest zielony.

Powtarzam: jest bardzo niebezpiecznie o tym pisać, bo zawsze powstaje wrażenie, że w ten sposób mówi się o całym nauczycielstwie. O nauczycielstwie, które ponosi wielki trud wychowawczy, ale którego zasługi nie mogą przesłaniać „działalności" jednego czy drugiego pedagogicznego sobiepana. Pana na dwójkach. Jest również niebezpieczne pisać z tego powodu, że młodzież uzna to za frajdę dla siebie, za lansowanie szkolnej taryfy ulgowej. Ale i to niebezpieczeństwo nie wydaje mi się za wielkie. Znam trochę młodych. Potrafią odróżniać. Nie należy ziarenka kąkolu ukrywać pod korcem pszenicy. To u tych młodzieńczo wrażliwych umysłów osiągnie przeciwny skutek. Mimo młodości są dorośli na tyle, by można było z nimi o tym i owym pomówić otwarcie.

Ijon

Noty i notki

● **Na głównym kiermaszu książek** z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy w Lublinie można było uzyskać autografy sześciu autorów — wśród których było trzech pracowników „Kameny". Bardzo by nas to cieszyło gdyby nie fakt, że Wydawnictwo Lubelskie na owe Dni nie przygotowało żadnej nowości — a np. sensacyjno-historyczna książka jednego z naszych kolegów jest „w druku" już przeszło półtora roku. Dom Książki również się nie popisał — książki sprzedawano „jak leci", bez jakiegoś tematycznego uporządkowania. Na kiermaszu — a potem w księgarniach — nie było też ani jednej pozycji związanej z Rokiem Kopernikowskim.

● **Przy obu wejściach** do lubelskiego PDT znajdują się wielkie tablice informacyjne o rozmieszczeniu stoisk na poszczególnych piętrach. Na pierwszym piętrze wisi duża tablica z napisem „Przepraszamy — remont". Ja też przepraszam, ale — żadnego remontu od kwartału już się nie prowadzi, a po reorganizacji (przed trzema miesiącami) przynajmniej połowa stoisk znajduje się w innym miejscu, niż to można przeczytać na tablicach „informacyjnych".

● **Przy Domu Technika w Lublinie** od strony ul. Skłodowskiej znajduje się parking, leżący na parceli NOT. Ponieważ okoliczni mieszkańcy przekształcili parking na miejsce stałego garażowania swoich samochodów, NOT zamknęła parking i zwróciła się do Wydziału Komunikacji PMRN, aby przy wjeździe postawić tablicę z napisem „Tylko dla samochodów NOT". Wydział odpowiedział, że byłoby to sprzeczne z socjalistycznym charakterem naszego państwa. Wobec tego parking jest nadal nieczynny, samochody przyjeżdżających do NOT-u blokują całkowicie wąską ul. Grottgera. Czy — zdaniem Wydziału — jest to wreszcie zgodne z socjalistycznym charakterem naszego państwa?

● **Na temat tego,** co dostają do jedzenia uczestnicy kolarskiego Wyścigu Pokoju krążą prawdziwe legendy. A sprawa jest prozaiczna. W Krakowie kolarze przed wyjazdem dostali na pierwsze danie białą kiełbasę z żurkiem, na drugie białą kiełbasę z musztardą i bułką. Australijczyk Allan był zachwycony tym polskim specjałem — i wygrał etap z Krakowa do Kielc.

● **W Szczecinie** był piękny tor kolarski, na którym przed laty urządzano interesujące imprezy. Ostatnio, jak doniósł „Głos Szczeciński", na tym torze odbyły się wyścigi konne. Zastanawiam się, czy to ma oznaczać awans, czy też degradację toru.

● **Jak doniosła prasa,** polscy konserwatorzy zabytków będą przeprowadzali renowację ośmiu XIII-wiecznych kamieniczek w Ragensburgu (NRF) i prawdopodobnie dwóch gmachów w Wiedniu. A gdyby tak przed wyjazdem zajęli się serdeczniej lubelską kaplicą i Zamościem...

JOD

Odpowiedzi redakcji

B. Ż. R. Ursus. Pani opowiadanie nie posiada rażących błędów. Ale nie posiada również tego czegoś, co usprawiedliwiałoby autorski zamysł. Na co autorka chciała skierować uwagę czytelnika? To pytanie zostaje bez odpowiedzi. Nakreślona sytuacja jest mało wymowna: mąż oblecuje sobie spędzić atrakcyjny urlop z kochanką, ale kiedy do tego dochodzi, następuje rozczarowanie. Samo stwierdzenie tego faktu nie jest jeszcze odkryciem, więc chętnie poszukalibyśmy innych zalet utworu. Na przykład penetracja psychologiczna. Niestety, mimo 15 stron tekstu zaledwie lekki jej cień się pojawia. Na dobrą sprawę nie wiemy, dlaczego kochankowie się rozjeżdżają nie powiedziawszy sobie nawet „do widzenia". Dlatego, że deszcz padał? Dlatego, że jemu konserwy szkodzą na wątrobę? Owszem, można sobie darować psychologię potraktowaną w sposób łopatologiczny, ale wtedy wypadki muszą być ujęte w taki sposób, by sama ich dramaturgia tłumaczyła rozwiązanie. Również i tego nie znajdujemy, bo utwór nie został pomyślany pod tym kątem, żeby się coś działo, lecz żeby się coś myślało. Więc i z tej strony sprzeczność. Uratowałby wszystko język. Bierz diabli motywacje, wiemy, że takie sceny się zdarzają, opiszmy je stylem sprawnym, nie skąpiąc trafnych obserwacji i w tym będzie legitymacja dla utworu. Na przykład niech się czytelnik dowie jak autorka widzi taflę jeziora pokłutą deszczem, co mu przedstawi ze swego doznania sosnowego lasu. Niestety i w tym kierunku nie było prób, nie ratuje nawet fragment z „Kroniki olsztyńskiej" Gałczyńskiego, bo jest nie a propos, nie ma kontekstu. W sumie: potrzeba więcej kondensacji, oszczędności, unikania zbędnych opisów, które nie „niosą" idei utworu. Sama stylistyczna poprawność jest jednym z siedmiu grzechów głównych w pisarskiej robocie.

Z. G. Goraj. Wierszy nie pisze się dlatego, że się przeczytało ich kilkanaście w czasopismach literackich i zyskało pewną umiejętność „oryginalnego" łączenia słów. W czytelniku autor powinien szukać rozmówcy dla swoich najbardziej interesujących spraw. Należy podkreślić: swoich. Dlatego znajomość rzemiosła i świadomość dokonań już istniejących jest niezbędna, jest warunkiem kultury literackiej nieodzownej w pisaniu, ale kolejność musi być inna: najpierw treść domagająca się przekazu, później szukanie środków mających ją wyrazić. Inaczej potraktowane pisarstwo jest tylko czymś w rodzaju gry, czasem udanej, nawet interesującej, ale pozostającej bez większego wrażenia. Wiersz to wyraz światopoglądu. Nie widać tego w pańskich tekstach. Wygląda na to, że Pan sobie założył dopięcie pewnej normy formalnej, sprawności technicznej, natomiast gdzieś na boku zostawił sam powód tego zamiaru. To nie świadectwo indywidualności, to próba mikrofonu. Kiedy stwierdzimy, że aparatura działa sprawnie, czekamy na słowo. I chyba samemu autorowi powinno zależeć najbardziej, żeby padło. Owszem, istnieje coś takiego, jak „wstydliwość uczuć", o której pisał twórca awangardy, Tadeusz Peiper, dlatego precz z ekshibicjonizmem. Ale uczucie uczuciu nie równe. Jeśli młody chłopiec rozpacza w wierszu z tego powodu, że mu się randka nie udała, uśmiechamy się i życzymy lepszej następnej. Ale to nie znaczy, że ze słów należy formować atrakcyjny parawanik dla swoich istotnych przeżyć, doznań, przemyśleń. To jest jedyne źródło twórczości. Wszelkie inne mimo okresowych nasileń wysychają na tyle skutecznie, by na nie nie liczyć.

P. R. Zamość. Owszem, ta rubryka ma coś z „poradnika dla serc", prowadzonego przez niektóre pisma popularne. Jak tam trudno jest coś radzić w sprawach do tego stopnia intymnych, jak perypetie między dwojgiem ludzi płci odmiennej, których łączy, czy dzieli uczucie, tak tu istnieje pewna sprzeczność: ta mianowicie, że proponuje się coś w kwestiach pisania, które ma być wyrazem najgłębszej indywidualności piszącego. Rzeczywiście, rada literacka jest czymś w rodzaju ingerencji w osobowość autora i jako taka nie legitymuje się pełnią konsekwencji. Są nawet pisarze, którzy bez ceregieli stwierdzają że krytyka literacka jest w ogóle niepotrzebna. Tylko w porównaniu z doradcami miłosnymi tutaj mamy ten niezaprzeczalny konkret, jakim jest utwór, podczas gdy tam nie zawsze do tak ewidentnych rezultatów dochodzi. Ten zaś podlega jeżeli nie obiektywnej ocenie, to przyjęciu. Jest sprawdzalny od strony wrażenia jakie wywołuje na czytelniku. Staramy się być wiernymi, wrażliwymi, życzliwymi, krytycznymi czytelnikami i efekt lektury przekazujemy autorom. Jeśli ten odzew jest na coś przydatny, zadanie nasze uważamy za przynajmniej połowicznie spełnione. Co zaś do nadesłanych utworów — widzimy pewne powody, by pisać dalej, ale nie bez konieczności nowych prób i starań, które zresztą nigdy piszącego nie powinny przerażać.

Na upały...

Fotoreportera „Kameny" tam nie było...

Ekskluzywny klub nudystów we francuskim mieście Bussy-en-Othe, leżącym niecałe 200 kilometrów od Paryża.

Według Sulima

smak miłości i łez

Najpierw Basia (była) a teraz Zuzia (jest) spragniona pocałunków Mariusza... Krew nie woda, ale Mariusz ani od jednej ani od drugiej nie domaga się dowodu miłości, chociaż Zuzanna gotowa już na wszystko. W poprzednim odcinku naszej powieści, drukowanej w — co stale podkreślamy — autonomicznej rubryce „Poste Restante", zostawiliśmy Mariusza z Zuzanną w pokoju hotelowym. Ostatnie słowa tej ostatniej brzmiały: „Błagam cię, pocałuj mnie...".

(16)

— Zuzanno, śpijmy już! Zrozum, bardzo ciebie lubię i szanuję, boję się jednak, aby to się nie popsuło! — Mariusz wrócił na swoją leżankę. Zuzanna starała się opanować. Żałowała teraz swojej słabości, ale jednocześnie czuła, że Mariusz jeszcze bardziej zapadł jej w serce. Z jednej strony zamartwiała się, że jej ukochany w kim innym ulokował swe uczucia, z drugiej zaś była dumna, że ona sama nie pokochała chłopca-motyla, który z kwiatka na kwiatek... A może w gruncie rzeczy ciągle łudziła się, że czas pracuje dla niej, że w końcu Mariusz przejrzy na oczy i przekona się, że Barbara to zamek budowany na lodzie...

Obudził ją rano dzwonek telefonu. Zaspana, mechanicznie podjęła słuchawkę. Nie zdążyła jeszcze wypowiedzieć zwyczajowego „Słucham", gdy Mariusz zjawił się przy niej i gwałtownie wyrwał jej spod ust membranę.

— Wyspałeś się Mariuszu? Hallo, dlaczego się nie odzywasz? Tu mówi Basia. Nie poznajesz, śpiochu?

— Oczywiście, że poznaję. Obudziłaś mnie...

— Tak przypuszczałam. No to jak się zobaczymy? Mam przyjść do ciebie?

— Bo ja wiem...

— Strasznie jesteś zaspany. Pomyśl, ja do ciebie zadzwonię za piętnaście minut! — Położyła słuchawkę.

— Dopiero teraz jesteś w prawdziwym kłopocie! — odezwała się Zuzanna. — Muszę ci jakoś pomóc, nie chciałabym, abyś miał jakieś przykrości, no i ja też wolałabym pozostać w cieniu. Pomysł mam bardzo prosty: wyskoczę do Krakowa, gdzie mieszka moja serdeczna przyjaciółka. Bardzo dobrze się złożyło...

— Musisz jechać do Krakowa? — Mariusz próbował oponować, ale czynił to bardzo nieśmiało. W gruncie rzeczy pomysł Zuzanny wydawał mu się zbawienny. Teraz, w dzień, nie obawiał się już wypuścić jej samej.

— Tak: będzie lepiej. Chciałam cię jednak prosić o jedno: oddaj klucze w portierni, niech już Basia nie przychodzi do tego pokoju.

Przed moment zawahał się, musiała to zauważyć.

— Nie to nie. Zrobisz, jak uważasz...

Pogładził ręką włosy Zuzanny, ale ta lekko odtrąciła go od siebie. Ten telefon zdenerwował ją. Wyczuł ten nastrój i powiedział:

— Dobrze. Ubieramy się. Pozbywam się tego pokoju.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, a po chwili, gdy znów zadzwoniła Barbara, była bardzo spokojna.

Mariusz umówił się z Basią na przystanku autobusowym. Do spotkania miał jeszcze dwie godziny czasu. Zdążył zjeść z Zuzią śniadanie i odwieźć ją na dworzec kolejowy. Ba — nawet ulokował ją w pociągu. Zaczekał, aż dyżurny ruchu dał sygnał odjazdu, a potem przez chwilę czekał aż wyglądająca przez okno Zuzanna zniknie mu z oczu.

Basia tym razem przyszła punktualnie.

— Jak się spało? — zapytała.

— Dobrze. Co robimy?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę do ciebie i wykąpię się. Wiesz, u stryjka pranie i cała łazienka zajęta...

— Niestety, już oddałem klucze.

— Dlaczego tak się pospieszyłeś? Oj, ty w gorącej wodzie kąpany! Nie zrobiłabym ci krzywdy. Boisz się mnie?

— Prosili mnie o to w portierni — skłamał. — Dziś jakiś zjazd, mają wielu gości...

— Hmm... Wiesz, Mariuszu, wobec tego mam propozycję: wybierzmy się na kilka godzin do Krakowa. Pójdziemy do Wierzynka na dobry obiad. Byłam tam kiedyś z ojcem. Koło piątej po południu mamy pociąg powrotny. No, powiedz, czy twoja Basia ma złe pomysły?

Mariusz zaczerwienił się gwałtownie. Przez chwilę milczał, Basia zrozumiała to jako cichą zgodę. Na pociąg musieli trochę poczekać. Kraków powitał ich piękną słoneczną pogodą...

* * *

Niemal w tym samym czasie, gdy Basia i Mariusz wychodzili z pociągu, Robert Nowicki dostrzegł na ulicy Ninę — siostrę Mariusza. Przeszedł na drugą stronę jezdni i szarmancko skłonił się przed dziewczyną. Nina ucieszyła się tym spotkaniem. W mieście miała tak mało znajomych. Mariusz niespodziewanie — telefonowała do niego do pracy — musiał wyjechać do Katowic, nie zdążyła mu nawet powiedzieć o swoim adoratorze. Zastanawiała się, jak on to przyjmie? Teraz, gdy wszystko przemyślała, doszła do wniosku, że zbyt ostro zareagowała na propozycję Nowickiego. Chciała mu to jakoś wynagrodzić, dlatego chętnie zgodziła się na wspólne wypicie kawy. W „Regionalnej" z trudem znaleźli wolny stolik.

— No to jak, Nino? Namyśliłaś się? Ja o tym małżeństwie naprawdę mówiłem poważnie.

— Ale jak można mówić poważnie, kiedy tej drugiej osoby wcale się nie zna?

(dcn)